

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 24 (1760) 14-20 czerwca 2024



**Czy nadciąga
III wojna światowa?
str. 4**

**Do czego
służą kajdanki?
str. 6**



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

❖ Odbłyły się wybory europejskie. Od wszystkich poprzednich wyborów różnią się tym, że tym razem nie wszyscy ogłosili zwycięstwo. Wniebowzięty był Donald Tusk – i twardostój mu nie opadł, nawet kiedy wyraźna przewaga z exit polls stopniała do jednego mandatu i niespełna jednego procenta w oficjalnych wynikach. PiS nieco marszczy brew, ale po ci-chu się cieszy, że przetrwał Kurski. Dupy dały Trzecia Droga i lewica – razem dostały mniej więcej tyle, co Konfederacja, która naprawdę ma powody do radości. Komentariat staran-nie przemilcza fakt, że sukces Konfy, korelujący z sukcesa-mi Frontu Narodowego we Francji czy AfD w Niemczech, wskazuje na to że jest w Europie – a także w Polsce – spora grupa wyborców, powiedzmy, ukrainosceptycznych. Może część z nich by wołała głosować na antywojenną lewicę – ale gdzie taką znaleźć?

❖ Z prowojennej lewicy do PE wszedł tercet egzotyczny Biedroń, Śmiszek, Scheurig-Wielgus. Nie weszli Belka z Ci-moszewiczem, którzy dostali chujowe okręgi – i słusznie, bo po co dziadersi w Brukseli i kogo to obchodzi, na czym tam się znają. Nie wszedł też, mimo znakomitego okręgu, Ma-ciej Konieczny. Istnieje supozycja, że wyborcy Razem ukarali Koniecznego za postawę, którą uznali za przejaw chciwości: nie po to parę miesięcy temu wybrali lewaka do sejmu, żeby teraz posyłać go na brukselską pensję. Jest skądinał ciekawe, czy oddając razemkom okręg śląski, w którym lewica zawsze zdobywała mandat, kierownictw NL miało wewnętrzne sondaze, z których wynikało, że Konieczny nie ma szans i nie zabierze mandatu nikomu z biedroniowców? Wcale byśmy się nie zdziwili.

❖ Premier Tusk zapowiedział szlachetnie, że „nie będzie robił jakiegós użytku nieprzyjemnego dla partnerów z tego, że dzia-siaj mamy tak wyraźnie lepszy wynik od pozostałych”, tym niemniej „ma nadzieję, że jedna lekcia do nich dotarla: że lu-dzie nie chcą kompromisu ze złem”. Po czym ogłosił, że po-licja, wojsko i pogranicznicy będą mogli bezkarnie strzelać do emigrantów na granicy białoruskiej. „Zło” jest pojęciem wysoce subiektywnym.

❖ Sezon otwarty na uchodźców został ogłoszony po tym, jak szeregowy Mariusz Sitek zmarł w wyniku ugodzenia no-zem przez jednego z mężczyzn, którzy usiłowali przedostać się przez płot na granicy. „Rzeczpospolita uczyni wszystko i nie spocznie, dopóki bandyta, który w bestialski sposób zaatakował ze skutkiem śmiertelnym polskiego żołnierza, nie zostanie schwytany. Rzeczpospolita nie spocznie, do-póki tego bandyty nie złapie” – ogłosił wicepremier i szef MON, Władysław Kosiniak-Kamysz. „W ten proces an-gażowane są wszystkie służby państwa, żołnierze i funk-cjonariusze Wojska Polskiego, policji, służb specjalnych, Straży Granicznej, wszystkich jednostek. Państwo polskie będzie ścigał bandytę, dopóki go nie schwytą. To jest na-sze solenne zobowiązanie. Myślę, że to jest zobowiązanie nie rządu, nie Rady Bezpieczeństwa Narodowego, nie Rady Ministrów, to jest zobowiązanie Polski, Polaków”. Następ-nie MSZ wewzał chargé d'affaires Białorusi i wręczył mu notę protestacyjną, w której Radosław Sikorski domaga się ustalenia przez władze Białorusi tożsamości mordercy i wydania go stronie polskiej.

❖ Jarosław Kaczyński bestialsko zaatakował tabliczkę na wieńcu pod schodami smoleńskimi – tę poświęconą „pa-mięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego”. Zamazał ją czarnym sprayem, po nocy, jak prawdziwy grafciarz. „Panie pośle, proszę, niech pan tego nie robi, to jest zabronione prawem” – zaapelował ostroźnie policjant. „Zabronione jest szkalowa-nie i atakowanie prezydenta” – zaripostował bystrze prezes i przeszedł do kontrataku: „Kto wydał taki rozkaz? Nie każde polecenie należy wykonywać, i pamiętajcie panowie, że hi-storia się toczy, no” – orzekł zgodnie z duchem istmatu, czyli materializmu historycznego. Wzbogaconego wszakże o „no”.

❖ Senat wykreślił z ustawy o ochronie sygnalistów – czyli osób zgłaszających informację o naruszeniu prawa uzyskaną w kontekście związanym z pracą – osoby zgłaszające naru-szenia prawa pracy. Tak, wiemy, że nie brzmi to szczególnie logicznie, ale tak właśnie jest. Okazuje się, że można donosić na pracodawcę, że pije, sprzedaje tajemnice i kradnie z firmy, ale nie, że okrada pracowników albo naraża ich na niebez-pieczestwo. Poprawka została napisana na zamówienie organizacji przedsiębiorców, a jej celem jest zapewnienie chujowym pracodawcom bezkarności w prześladowaniu pracowników, którzy na nich naskarżą. Zgłosiła ją grupa senatorów ze wszystkich klubów koalicji rządzącej – w tym o hańbo, Piotr Woźniak z lewicy – a wsparli także senatoro-wie PiS. Andrzej Kałata z PiS ogłosił, że jest to „ustawa o do-nosicielstwie, która w jakiś szczególny sposób chce wziąć pod ochronę donosicieli” i że sprawy zgłaszane przez sygna-listów z zakresu prawa pracy są „drobne, bzdurne”, a cały pomysł jest „stalinowski”. W Polsce co roku w wypadkach przy pracy ginie 200 osób.

❖ Prezydent Duda zabyłszy jak zwykle. „Pan minister Ra-dosław Sikorski chce odwołać z ambasady w Lizbonie ambasador Joannę Pilecką, która jest młodszą krewniacz-ką rotmistrza Pileckiego, ale bardzo chce wysłać jako pol-skiego ambasadora pana Ryszarda Schnepfa, którego tata, razem z Sowietami uczestniczył w Obławie Augustowskiej przeciwko Polakom” – ogłosił w Telewizji Republika. „Pani Joanna Pilecka, odwołana polska ambasadorka w Portugalii NIE jest naszą krewną! Uprzejmie prosimy Pana Prezydenta Andrzeja Dudę i innych o nieużywanie, kolejny raz imienia naszego dziadka, rtm Witolda Pileckiego w grze politycznej” – odpowiedziały cztery żyjące wnuczki Witolda Pileckiego: Beata Pilecka-Różycka, Anna Pilecka-Godlewska, Dorota Optulowicz-McQuaid i Małgorzata Kosiór.

AWŁ

Z URNY URBANA

Czerwiec to Miesiąc Dumy LGBT. W tym roku z tej okazji Warszawa gości aż trzy parady równości (więcej o tym – czytaj na str. 9). Przpominamy więc okolicznościowy felieton Urbana z 2019 r.

Pedał honoris causa

Rosja nie jest już głównym dla nas za-grożeniem. Zdaniem Zjednoczonej Prawi-cy pierwszeństwo wśród wrogów mają geje i lesbijki. Polska znowu jest przedmurzem. Wiceminister sprawiedliwości Romanowski powiedział w wywiadzie dla „Sieci”: „Polska jest ostatnim dużym krajem europejskim, który może się oprzeć promocji agendy LGBT”. Co to znaczy promocja agendy, nie wyjaśnił. Obok redaktor Fijołek, powołując się na zamiary wiceprezydenta Warszawy Rabeja, dowodzi, że jeśli lesbijki uzyskają prawo do odwiedzania w szpitalu chorującej partnerki, to w następstwie tak zbezczelnia-ją, że zażądają prawa do adoptowania dzieci, aborcji na życzenie, a też stosować zacząną inżynierię społeczną. Być może chodzi o in-żynierię genetyczną, gdyż inżynierią spo-leczną jest np. pisowskie „500 plus”. Po co lesbijkom aborcję, to tajemnica wyobraźni wiceministra. Kolejny w tym wydaniu „Sie-ci” artykuł jest o tym, że z dzieci wychowy-wanych przez gejów wyrastają przestępcy, pojeby i inni nieszczęśnicy.

Powodem prawicowej paniki są tęczowe marsze równości w miastach, kuse zresztą. Reżim uważa, że to były pochody po władzę, takie jak marsz na Rzym Mussoliniego pra-wie sto lat temu. Heteroseksualni katoprawi-cowcy twierdzą, że globalną gospodarkę już przejęli zbroćnicy. Tak wygląda nasza sytu-acja frontowa. Domyślać się należy, że lada dzień lesby porywać zacząną dzieci, a pedały – gwałcić polityków PiS i księży. Pobożnym wielodzietnym rodzinom ze strony LGBT grozi kastrowanie i wyrzucanie z sieci, czyli na margines. Mężczyźni rządzący Zjedno-

czoną Prawicą panikują z wyrachowania. Wolą polykać głosy elektoratu niż jego sper-mę, smaczną przecież.

Zdarzenia i poglądy ogólnie znane opisu-ją, żeby odnieść je do własnych życiowych doświadczeń. Oboje moi rodzice byli nie-złomnie, a do tego obficie heteroseksualni. Miałem 11 lat, kiedy oni, sądząc, że śpię, zwierzali się sobie ze swoich skoków w bok, a byli bardziej skoczni niż kangury. Zapa-miętałem nawet jedno nazwisko członka korpusu kochanków mojej matki – inży-nier Lizak. Pod względem seksu padłem jak jabłko niedaleko jabłoni. Nie zostałem więc, jak dzieci z rodzin homo, złodziejem ani pojebem. Nie będę więc członkiem tę-czowej nomenklatury. Jak ostrzega zaś ty-godnik „Sieci”, zastąpi ona dawną czerw-oną, do której miałem zaszczyt należeć jak najbardziej.

Liczyłem sobie pięć albo sześć lat, gdy dowiedziałem się o tym, że mężczyzna z mężczyzną mogą być małżeństwem. Lato spędzałem w majątku dziadków. Na niedzielne obiady przyjeżdżali tam ich przyjaciele – dwóch starszych panów i ich jamnik. Moi rodzice przy mnie wysmiewali się potem z nich: 40 lat mieszkają razem, a przy ludziach mówią do partnera per pan. Pobrałem z tego naukę, że maskowanie odrębności seksualnej jest godne pogar-dy. Za socjalizmu zdarzało mi się więc pi-sać, że konspiracyjne pedały są tchórzami i szkodzą sami sobie.

Jako pięciolatek przed wojną chodziłem do przedszkola zwanego freblówką. Nie uczono mnie tam seksu, co, jak twierdzi

PiS, zamierza czynić pre-zydent Warszawy. Uczono mnie francuskiego, ale ję-zyków nie zaszczepiono mi, gdyż się nie przyjęły. To samo może dotknąć wykłady seksualizmu im. Trzaskowskiego. Seksu już później uczyły mnie dziewczyny. Szkoliły skutecznie, cho-ciaż ćwiczenia trwały wiele lat i wymagało to całej sztafety preceptorek.

Seksu lub innych czynności z picią tożsa-mą nigdy nie spróbowałem, przez co uwa-żam swoje życie za bardzo zubożone. Raz tylko spotkała mnie propozycja pójścia do łóżka z facetem. Pochlebiał mi tak urzędują-cy premier. Mogłem mu odmówić, gdyż by-łem już prywatnym wydawcą, niezależnym politycznie i finansowo.

Niezawisłość jednostki tym bywa zła, że oddała wiele pożytecznych przeżyć na-stręczanych człowiekowi przez jego zależ-ność.

Jestem homoseksualistą, tyle że nieprak-tykującym. Deklaruję gotowość uczestni-czenia w marszach równości, jeżeli zostaną zmotoryzowane. Moją jedyną flagą może być tęczowa, szczególnie, że są to także bar-wy spółdzielczości. Jestem za odbieraniem przedsiębiorstw heterykom, gdyż homo-gospodarka czytana dosłownie oznacza go-spodarkę ludzką. Niechaj rządzi Polską no-menklatura LGBT, czyli sitwa lepsza niż ta, która teraz krajem włada. Ogólnie mówiąc, chuj w dupę polskim panom. Nasz sztandar płynię ponad trony.

URBAN

TRYBUNA LUDZI



Czym się teraz zajmie Kurski?

Facebook

Anna Maria Pantera: Knuciem. To umie najlepiej.

Bartek Orzeł: Kurski będzie robił cały czas to samo: pluł, gryzł, mącił i szpacił. A potem kolejne unieważ-nienie i znowu ślub kościelny.

Daniel Len: Już niedługo zajmie się grypsera.

Irena Luszczynska: Myślę, że kolejnym rozwodem i kolejnym ślubem. Na rodzinę zarobi, przecież gra na gitarze i śpiewa – to w jednym z podziemnych przejść w Warszawie znajdzie się jakiś filar dla niego.

Tomek Grzybowski: To zależy, z kim będzie w celi.

Piotr Czaplicki: Wróci do Banku Światowego.

Arkadiusz Tomaszewski: Niczym. Nim się zajmą.

Adam Trurl: Zostanie przewodniczącym Rady Etyki Mediów.

Maciej Dadej: Będzie czyścił kuwetę żoliborską.

Katarzyna Mróz-Smaga: Najlepiej niczym.

Jadwiga Iga Makowska: Jestem więcej niż pewna, że przysgarbie go Glapa.

Maciej Monczak: Będzie jeździł z Zenkiem na koncerty.

Forum

BOG: Podobno w sądzie biskupim jest wakat na sta-nowisku obrońcy węzła małżeńskiego.

Qska QqRydz-Qqć: Będzie prowadzić gorączkowe rozpoznanie rynku pod kątem, co teraz kupuje ciemny lud?

PRAŚA ŚNIADANIOWA

- Na targach **Nacroexpo** Polacy zajęli trzecie miejsce w zawodach w kopaniu gro-bów. Trzeba pamiętać, że Polacy byli bezkonkurencyjni w kategorii „Sprzedaż skór na wolnym rynku”.
- **Martha** – pierwowzór postaci z „Reniferka” – pozywa Netflixa o 170 mln dolarów odszkodowania. Będzie to to samo, co proces Johnny Depp contra Amber Heard, z tym, że w wersji o brzydalach.
- **30 proc. pokolenia Z** nie widzi powiązania między studiami a sukcesem zawodo-wym. Oby to nie byli przyszli lekarze i prawnicy.
- Portal **fronda.pl** przypomina, że ciała świętych po śmierci nie rozkładają się, tylko pachną kwiatami. To tak jak pierdy księżniczek.
- **Polska Organizacja Handlu i Dystrybucji** ostrzega, że wprowadzenie dwóch niedziel handlowych doprowadziłoby do dezorientacji klientów. Dezorientowani klien-ci przebieraliby się w konfesjonalach czy modlili przy kasach?
- **Przemysław Czarnek** powiedział, że PiS-owi do wygranej zabrakło jednego, dwóch dni kampanii. Ciekawe czy chodzi o to, że ranny żołnierz zmarł w ciszy wy-borczej?

MARTA M.



Czas wyjść

Gdzie
jest miejsce
lewicy, kiedy
władza
strzela do
ludzi

Wynik wyborów europejskich jest dla lewicy najgorszy z możliwych: za dużo, żeby umrzeć, za mało, żeby żyć. Gdyby lista nie przekroczyła progu, wewnętrzna opozycja – która składa się właściwie z wszystkich członków partii niebędących beneficjentami obecnego układu rządowego – znalazłaby może siłę i determinację do przyspieszenia kongresu i pogonienia żalostnego duetu ciągnącego w przepaść nie tylko partię, ale ideę lewicowości w ogóle. Gdyby wynik był przyzwoity – pojawiłby się cień szansy, że samodzierżawca na czele rządu zacznie choć trochę liczyć się z koalicjantem i jego żądaniami programowymi, na które wszak zgodził się przy zawieraniu koalicji. Wynik – 6,3 proc. i trzy mandaty – petryfikuje peryferyjną pozycję lewicy na polskiej scenie politycznej. Do tego skład „naszej” delegacji do Parlamentu Europejskiego jest cokolwiek kompromitujący.

Senator NL Maciej Kopiec w kwietniu ogłosił na platformie X, że celem kierownictwa partii jest „sprowadzenie Lewicy w PE do trio: Biedroń, Śmiszek, Scheuring-Wielgus”. Miał to zapewnić rozdział okręgów, który, zgodnie z kuriozalną ordynacją do PE, decyduje o zwycięstwie lub klęsce. Uczciwie mówiąc, miałam nadzieję, że to się nie uda; że jednak przemyci się ktoś spoza wytypowanego ręcznie przez Roberta rdzenia śp. Wiosny. Bo serio: czy ktoś jest w stanie uzasadnić tezę, że Joanna Scheuring-Wielgus jest lepiej przygotowana merytorycznie niż prof. Marek Belka? Ze Krzysztof Śmiszek jest bardziej kompetentnym prawnikiem niż Włodzimierz Cimoszewicz? Szafarze list zadbali jednak o to, żeby żaden postkomunista nie zagroził wiosennym zwycięzcom.

Strzelać, strzelać, nic się nie bać

To jednak, tak naprawdę, nie ma już dziś większego znaczenia. Sytuacja jest podbramkowa. Tusk, umocniony triumfem nad koalicjantami (pojęcie „triumfu” jest względne; jego formacja od października straciła 2,3 mln wyborców) zaczyna rządzić w sposób, z którym żadna lewica zgodzić się nie może.

Rząd Donalda Tuska właśnie przyjął projekt ustawy, która pozwala służbom mundurowym bezkarnie i bez powodu strzelać do ludzi. Lewica nie może być częścią takiego rządu.

Tu już naprawdę nie ma dokąd się cofać.

Po tym, jak żandarmeria aresztowała i, o zgrozo, zakuła w kajdanki trzech żołnierzy, którzy strzelali do wycofujących się uchodźców – Polska zatrzęsała się z oburzenia, a rząd z piątku na poniedziałek przygotował projekt ustawy, który a priori znosi odpowiedzialność karną za strzelanie do ludzi w ogóle. Jak wyjaśnił premier, „według tych nowych przepisów żołnierz nie popełni przestępstwa, jeśli użyje broni, chociaż w normalnych okolicznościach byłoby to uznane za naruszenie zasad do użycia lub wykorzystania broni”.

Dla porządku: „wykorzystanie” broni to zdecydowanie nie to samo, co jej „użycie”. „Użycie” oznacza strzelanie („z zastosowaniem amunicji penetracyjnej”) do ludzi; wykorzystanie zaś do czegokolwiek innego. Premier konsekwentnie używa słowa „użycie” – co oznacza strzelanie do ludzi.

Strzelanie takie ma być w pełni legalne w celu „odparcia bezpośredniego bezprawnego zamachu na nienaruszalność granicy państwowej przez osobę, która musi przekroczenie granicy państwowej przy użyciu pojazdu, broni palnej, lub innego niebezpiecznego przedmiotu”, lub „przeciwdziałania czynnościom zmierzającym bezpośrednio do zamachu na życie, zdrowie lub wolność tego żołnierza lub innej osoby”, lub „konieczności przeciwstawienia się osobie niepodporządkowującej się wezwaniu do natychmiastowego porzucenia broni, materiału wybuchowego, lub innego niebezpiecznego przedmiotu, którego użycie może zagrozić życiu, zdrowiu lub wolności tego żołnierza lub innej osoby”...

Toż to może znaczyć dokładnie wszystko. „Niebezpieczny przedmiot” to może być patyk, kamień, zapalniczka, którą „migrant” podpala papierosa. Wystarczy, że natychmiast nie rzuci jej na ziemię, a polski żołnierz może go zastrzelić w majestacie prawa. Za „czynności zmierzające bezpośrednio do zamachu” można uznać wygrananie pięścią albo zgola groźne pomruki. Rząd

„demokratycznej koalicji” uznał właśnie, że człowiek w polskim mundurze ma prawo zastrzelić innego człowieka za to, że krzywo na niego spojrzal. A wiceminister Tomczyk zapowiedział, że rząd oczekuje, aby przepis ten został uchwalony „przez akklamację”.

Efekt Lucyfera

Najbardziej tragiczne jest chyba to, że jedyny głos krytyczny wobec pomysłu bezkarnego strzelania do ludzi padł ze strony prawicowego polityka obecnej koalicji rządzącej, byłego posła PiS, a dziś



ILLUSTRACJA: PAWEŁ FIEBENC

wiceszefa MON z ramienia Polski 2050, Pawła Zalewskiego. Ocenił on, że „to jest absolutny absurd, żeby w ciągu weekendu wypracować nową koncepcję” zasad strzelania; że należy utrzymać dotychczasowe przepisy i że nowe „prowadzą do wojny z Białorusią”. Co jest opinią absolutnie słuszną – ale niepodyktowaną względami moralnymi, a jedynie praktycznymi.

Nikt z polityków lewicy nie powiedział tego, co z lewicowego punktu widzenia powinno być oczywiste: nie wolno strzelać do ludzi. Użycie broni przez mundurowych musi być absolutną ostatecznością i następować tylko w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia; i każda taka sytuacja musi być szczegółowo zbadana. Żołnierze, policjanci, pogranicznicy nie mogą – do czego wzywa premier Tusk – mieć „pewności użycia broni”. To nie jest Dzik Zachód: nikt nie powinien być „pewny”, że wolno mu strzelić do drugiego człowieka.

Ta ustawa nie tylko pokryje trupami naszą wschodnią granicę, ale także spowoduje głęboką demoralizację żołnierzy i funkcjonariuszy w polskich mundurach. Jak ktoś ma wątpliwości, niech sobie poczyta Philipa Zimbardo. Szczególnie polecam pozycję: „Efekt Lucyfera. Dlaczego dobrzy ludzie czynią zło?”.

Lewica nie może brać udziału w rządzie, który podejmuje tak głęboko niemoralne decyzje.

I nie może nawet zasłonić się wątpliwym usprawiedliwieniem, że co prawda przykładą rękę do masyowego zabijania migrantów, ale za to wywalczyła zdobycze dla polskich pracowników. Żaden z kluczowych społecznych postulatów lewicy nie znalazł się na agendzie rządu; nie zanoszą się na to, żeby jakkolwiek się znalazł. Zwłaszcza teraz, kiedy Tusk potwierdził swoją przegawę w wyborach do PE.

Jedynym moralnym wyjściem jest wyjście z koalicji.

Nie oznacza to upadku rządu, powrotu PiS od władzy. Oznacza to rząd mniejszościowy Tuska, który będzie musiał negocjować z klubem lewicy każdą ustawę – wiedząc, że nie ma szansy na głosowanie, tylko grupę wiernych swoim wartościom posłów i senatorów gotowych do głosowania jedynie za rozwiązaniami, które uważają za słuszne.

W bramce A mamy zasady, lewicowe wartości, twarz i zwykłą ludzką przyzwoitość.

W bramce B – garstkę rządowych i sejmowych stanowisk dla chciwych władzy, acz przeważnie niekompetentnych aparatczyków.

Zgadnijcie: którą bramkę wybierają Czarzasty z Biedroniem?

AGNIESZKA
WOLK-LANIEWSKA

Lepiej liczyć glizdy w polu niż głosować w duopolu

Dwie wiadomości. Dobra i zła.

W polskich wyborach do Parlamentu Europejskiego wygrało dobro, czyli partię proeuropejskie i uchodzące za demokratyczne. Choć – po zsumowaniu wyników obu obozów – przewaga proeuropejskiej to jedynie jeden procent.

Jednocześnie wybory dowiodły, że polski system polityczny nadal opiera się na rywalizacji Koalicja Obywatelska – PiS. Pełnego pluralizmu partii i poglądów w Polsce nie ma, co jest złą informacją dla idealistów demokracji.

Nietrudno zauważyć, że wybory wygrały dwie partie, przede wszystkim propagandowo. Koalicja Obywatelska, bo miała pierwszy wynik oraz Konfederacja po uzyskaniu trzeciego. Wygrały, bo maksymalnie zmobilizowały swe żelazne elektoraty.

Te osiągnięcia teraz wyniki będą długo jeszcze propagandowo pracowały na prestiż wyborczy wszystkich startujących partii. Podbiły wartość polityczną KO i Konfederacji. Dołowały PiS, Trzecią Drogę i Lewicę.

Pierwszy duoObywatel

Nietrudno też zauważyć, że teraz będziemy mieć chwilowy spokój z wybieraniem. Przynajmniej do lata przyszłego roku. Wtedy odbędą się najważniejsze teraz wybory. Prezydenta RP. Zapewne też w systemie duopolu politycznego. Plebiscytu pomiędzy reprezentantami dwóch skłóconych politycznie polskich społeczeństw.

Pierwszego wskaże kierownictwo Koalicji Obywatelskiej. Umocnione tym zwycięstwem. Jego kandydat będzie zapewne Rafałem Trzaskowskim lub osobą podobną mu. Musi ona być osobnikiem medialnie miłym, na banerach przystojnym, gładko i niekontrowersyjnie mówiącym.

Ponieważ będzie zabiegać o centrolewicowych wyborców, to zostanie wystylizowany na umiarkowanie progresywnego z lekką nutą konserwatyzmu. Progresywnie zagra w dużych miastach,

konserwatywnie – w Końskich i podobnych. Jeśli jednak kampania wyborcza zaostry się, to będzie musiał pokazać pazurki.

Kandydata Polski konserwatywnej i eurosceptycznej będzie wyznaczało kierownictwo PiS. Ale tu – w przeciwieństwie do KO – nie ma pewności, czy prezes Kaczyński w przyszłym roku nadal będzie przywódcą Zjednoczonej Prawicy pełną gębą.

Prezes Kaczyński jest twarzą niedawnych trzech kolejnych przegranych wyborczych. Dzięki nim Zjednoczona Prawica najpierw straciła administrację rządową, potem oddała władzę w kilku samorządach wojewódzkich, a teraz ubył jej europarlamentarzystów, czyli wysokich składów specjalnych.

Zjednoczona Prawica przestała kontrolować media publiczne i spółki skarbu państwa. Straciła kanały propagandowe. Jej aktywiści i polityczni klienci stracili posady państwowe, samorządowe i przede wszystkim sute pensje. Przez to kasa partyjna PiS utraciła wpłacane i ewidencjonowane składki specjalne. I pewnie też kopertowy, czyli przekazywaną poufnie centrali gotówkę niewypisywaną w oficjalne rejestry dotacji i darowizn. Zapewne lewa kasa PiS też radykalnie wyschła.

Niebawem grono parlamentarzystów z PiS może też stracić immunitety, zyskać prokuratorskie oskarżenia i czasochłonne, kosztowne procesy sądowe. I choć PiS nadal będzie otrzymywał sute dotacje budżetowe na działalność polityczną, nadal będzie bogatą finansowo partią, bo osiem lat rządów było tłustymi latami – to zapewne przed wyborami prezydenckimi prezes Kaczyński będzie zmuszony do pozyskania dla

swej prezydenckiej kandydatury poparcia Konfederacji.

Konfederacja zyskała w tych wyborach wynik wyższy niż jej rzeczywiste poparcie. Ale ten wynik pójdzie w polityczny, medialny świat. Podbiję negocjacyjną pozycję Konfederatów na prawicy. Dodatkowo przesia eurowyborom Konfederacja wyeksportowała kłopotliwego posła Kazimierza Brauna, a konfederacki secesjonista

Dobro, zło i kamieni kupa

Janusz Korwin-Mikke, startujący z listy Bezparytyjnych Samorządowców, wybory przegrał. Wzmocniła się tym wewnętrznie.

Wyniki eurowyborów pozwalają przypuszczać, że wystawiona do prezydenckich wyborów kandydatura PiS nie ma szans na zwycięstwo bez poparcia Konfederatów. To głosy ich zwolenników mogą przeważać szale na korzyść wybrańca prezesa Kaczyńskiego. Zwłaszcza, że konfederaci mają deficytowe w PiS zasoby. Autentyczny, prawicowy radykalizm. Nienaruszona cnota opozycyjnej partii. I przede wszystkim poparcie wśród młodego pokolenia.

Z drugiej strony, politycy Konfederacji autentycznie nie cierpią prezesa Kaczyńskiego. Uważają, że to on jest główną przeszkodą w budowaniu prawicowej koalicji politycznej. Konfederaci chętnie kooperowali z PiS, ale pod nowym kierownictwem. Albo z partią, która powstałaby z „odnowy” Prawa i Sprawiedliwości.

I nie zdziwny się, kiedy jednym z warunków poparcia Konfederacji dla prawicowego kandydata na prezydenta będzie rezygnacja prezesa Kaczyńskiego, albo przynajmniej radykalne ograniczenie zakresu jego władzy.

A w przyszłości może to być wstępem do radykalnej przebudowy partyjnej na polskiej prawicy. Ale już po wyborach prezydenckich. Co zakończyć może też karierę polityczną Jarosława Kaczyńskiego. Politycznej twarży obecnego politycznego duopolu.

Apetyt przystawek

W podobnej, i wcale nie lepszej, sytuacji będzie premier Donald Tusk. On zapewne zdecyduje o kandydaturze centrolewicy na prezydenta RP. Ale głosami

samych zwolenników Koalicji Obywatelskiej taki kandydat prezydentem nie zostanie.

Bo w prezydenckich wyborach nie wystarczy wygrać w dużych miastach. Trzeba też pozyskać poparcie w Końskich.

Prezes Kaczyński przed prezydenckimi wyborami będzie musiał zalecać się jedynie do liderów Konfederacji. Zaakceptować, że w pierwszej turze wyborów konfederaci wystawią własnego kandydata, aby zrobić dobry wynik i podbić swą pozycję negocjacyjną w turze drugiej.

Premier Tusk zabiegać będzie o poparcie Trzeciej Drogi i Lewicy. Obie partie też zapewne w pierwszej turze wystawią swych kandydatów. Trzecia Droga postawi na obecnego marszałka Sejmu RP Szymona Hołownię. A on może osiągnąć wynik na poziomie kandydata Konfederacji. Ale prezydentem RP nie zostanie.

I wtedy być może wrócimy do dyskusji, czy Szymon Hołownia zechce zrezygnować z fotela marszałka Sejmu RP, aby – zgodnie z koalicyjnymi ustaleniami – zasiadł w nim lider Lewicy, aktualny wicemarszałek Włodzimierz Czarzasty. Może się przecież zdarzyć, że Trzecia Droga uwarunkuje swe poparcie dla

kandydata KO od poparcia KO dla marszałkowania przez Szymona Hołownię aż do końca X kadencji Sejmu RP.

Ale wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że przy poparciu jedynie Trzeciej Drogi kandydat centrolewicy, czyli premiera Tuska, nie zostanie prezydentem RP. I wtedy prawicowo-centrowy nowy Duda znowu będzie skutecznie wetował ustawy prodemokratycznej koalicji październikowej. Dowodząc, że rząd Tuska i jego parlamentarna większość nie potrafią skutecznie Polską rządzić. I czas na rządu zmianę.

Lewica przegrała eurowybory na własne życzenie. Nie da się uzyskać dobrego wyniku bez posiadania własnych mediów, tylko samymi mediami społecznościowymi. Nie można mieć znaczącego poparcia społecznego, kiedy olewa się starszych wiekiem lewicowych wyborców.

Marzenia, że polska młodzież i polskie kobiety gremialnie zgłoszą na progresywną lewicę dowodzą, że jej liderzy i stratedzy oderwali się od rzeczywistości.

Lewicowi wyborcy pokazali właśnie kierownictwu Lewicy żółtą kartkę. Teraz kierownictwo Lewicy ma niewiele czasu na refleksję i zmianę swej polityki.

Może to być trudne, bo w wyborach prezydenckich nawet sześć procent lewicowego poparcia będzie miało wielką wartość.

Co sprawi, że premier Tusk zabiegać będzie o poparcie Lewicy. Wtedy swe „ostatnie kuszenie” Lewicy zagra. Bo kiedy wygra jego kandydat na prezydenta, to balansująca na poziomie progu wyborczego Lewica w przyszłych wyborach parlamentarnych nie będzie już mu potrzebna. Zwłaszcza jeśli rządząca koalicja przeforsuje kilka symbolicznych dla lewicowców ustaw.

Kiedy jest wojna polsko-polska, wojna konserwatywnej Polski z Polską progresywną, to wszelkie trzecie polityczne drogi kurczą się do rangi ścieżek.

PIOTR GADZINOWSKI

PS. O Lewicy niebawem napiszę więcej.

Atmosfera pełna jest obaw wywołanych wojną rosyjsko-ukraińską i wsparciem, jakiego Ukrainie udzielają Stany Zjednoczone i część państw Unii Europejskiej. W doniesieniach prasowych fakty miesza się ze zmyśleniami, dywagacje domorosłych strategów z zasługującymi na uwagę analizami ekspertów. Pojawiają się też porównania z konfliktami czasu zimnej wojny, w znacznej mierze nieuprawnione – ale po części zasadne.

Radziecka wojna sukcesyjna

Nieuprawnione jest traktowanie dzisiejszego konfliktu Rosji ze Stanami Zjednoczonymi jako nowej odsłony zimnowojennej rywalizacji dwu supermocarstw. W dzisiejszym konflikcie nieobecny już jest pierwiastek ideologiczny, w zimnej wojnie bardzo silny. Dzisiejsza Rosja nie reprezentuje i nie lansuje swego modelu ustrojowego i światopoglądowego, nie zmierza do panowania nad światem.

Poza wszystkim, jest od ZSRR dużo mniejsza i słabsza. Jest państwem autorytarno-wyborczym, ale nie totalitarnym. W rywalizacji światowej po jej stronie opowiadają się zarówno demokracje (India), jak i autokracje (Chiny).

Sojusznicy Stanów też nie są jednolici ideologicznie i ustrojowo. Sama Ukraina nie jest państwem demokra-

Czy nadciąga III wojna światowa?

Bywało gorzej. Rozum zwyciężał.

tycznym, lecz podobną Rosji skorumpowaną oligarchią.

Wojna, jaką Rosja wydała Ukrainie, ma cechy typowo sukcesyjnej walki o schedę po Związku Radzieckim. Proroczo opisał to 90 lat temu Roman Dmowski. W 1930 r. w obszernym esej „Kwestia ukraińska” snuł rozważania na temat relacji między niepodległą Ukrainą i Rosją w przyszłości: „Rosjanie musieliby być najniechętniejszym w świecie narodem, żeby łatwo pogodzić się z utratą olbrzymiego obszaru, na którym znajdują się ich najurodzajniejsze ziemie, ich węgiel i żelazo, który stanowi o ich posiadaniu ropy i o ich dostępie do Morza Czarnego”...

Do tej wojny sukcesyjnej – jak do wielu podobnych, których w dziejach Europy nie brakło – natychmiast dołączyły inne państwa. W tym przypadku Stany Zjednoczone i ich sojusznicy, zaniepokojeni możliwością umocnienia się Rosji po aneksji Ukrainy, a także państwa wschodniej flanki NATO z Rosją historycznie zantagonizowane.

Ten charakter tej wojny jest ignorowany. Wygodniejsze bowiem propagandowo – i lepiej diabolizujące Rosję – jest jej utożsamienie ze stalinowskim ZSRR, za którym tęskni zresztą sam Putin. Wygodniejsze – ale jednak bezzasadne i wprowadzające w błąd, zwłaszcza w przewidywaniu dalszego rozwoju wydarzeń.

Natomiast godne uwagi są perypetie związane z bronią nuklearną. Od 1950 r. oba mocarstwa zantagonizowane zimną wojną posiadały już broń nuklearną; od połowy lat sześćdziesiątych w znacznych ilościach. Każdy poważny kryzys w ich relacjach niósł w sobie ryzyko eskalacji w stronę wojny światowej z użyciem broni masowej zagłady. Wszystkie te kryzysy zostały jednak zażegnane bez wojny światowej i bez użycia tej broni. Z wdzięczamy to wielu okolicznościom – w tym także rozsądkowi obu stron.

Zgromadziło się w tej mierze spore doświadczenie, którego nie wolno zapomnieć. Warto przypomnieć te kryzysy, w których do użycia broni nuklearnej było najbliżej.

Generał, prezydent, sukinsyn

Wojna koreańska (1950–1953) między północą Korei rządzoną przez komunistów Kim Ir Sena oraz południem rządzoną przez nacjonalistów Li Syng Mana. Po stronie południa

uczestniczyły w niej, z upoważnienia ONZ, także Stany Zjednoczone (500 tysięcy żołnierzy) i ich sojusznicy. Zaś po stronie północy – Chiny Ludowe (milion żołnierzy), a nieoficjalnie też radzieccy lotnicy.

W toku zmiennych kolei wojny, jesienią 1950 r. wojska amerykańskie pod dowództwem gen. Douglasa MacArthura zajęły prawie całą Koreę, zbliżając się do granicy z ChRL. Potężna interwencja armii chińskiej odepchnęła je daleko na południe, poza stolicę – Seul.

Zrozpaczony tą porażką McArthur zagroził Chinom bombardowaniem nuklearnym i zażądał na to zgody prezydenta USA Harry'ego Trumana. W odpowiedzi, zamiast zgody na atomowe bombardowanie Chin, otrzymał dymisję. Mimo jego wielkich zasług w wojnie z Japonią i ogromnej popularności.

Do ostrej wymiany zdań generała z prezydentem doszło w czasie spotkania na Hawajach. Truman oświadczył, że Korea nie warta jest wojny światowej, zaś generał burknął: „Stary sukinsyn”. W odpowiedzi usłyszał: „Może i sukinsyn, ale twój prezydent, który wywala cię z wojska”. Początkowo opinia publiczna w Stanach była po stronie MacArthura, który nawet rozważał kandydowanie w zbliżających się wyborach prezydenckich. Gdy jednak społeczeństwo dowiedziało się, że zamierzał on użyć przeciw Chinom broni nuklearnej, jego popularność drastycznie zmalała. Prezydentem został inny generał, Dwight Eisenhower, który nie straszył bombą atomową, lecz zapowiedział, że pojedzie do Korei, zawrze pokój i sprowadzi „naszych chłopców” do domu.

W Korei poległo 34 tys. Amerykanów, 110 tys. odniosło rany. Kraj nieco

większy od Ukrainy pozostał do dziś podzielony na dwa państwa.

Ręce precz od Kuby

Kryzys kubański (15–28 października 1962). Na początku lat 60. ubiegłego wieku opanowanie produkcji rakiet średniego zasięgu, zdolnych przenosić głowice jądrowe, skłoniło Stany Zjednoczone do rozmieszczenia tych rakiet w NATO. Głównie w Wielkiej Brytanii i Turcji, skąd miałyby w zasięgu europejską część ZSRR. Szukając odpowiedzi na to radziecki przywódca Nikita Chruszczow skłonił Fidela Castro – od dwóch lat zwycięskiego głowice jądrowe, skłoniło Stany Zjednoczone do rozmieszczenia tych rakiet w NATO. Głównie w Wielkiej Brytanii i Turcji, skąd miałyby w zasięgu europejską część ZSRR. Szukając odpowiedzi na to radziecki przywódca Nikita Chruszczow skłonił Fidela Castro – od dwóch lat zwycięskiego

Amerykański zwiad lotniczy wykrył budowę wyrzutni, a nawet same rakiety już gotowe do instalacji. Równocześnie w stronę Kuby płynął silnie ochroniany radziecki konwój z dalszym zaopatrzeniem dla tej bazy. W tej sytuacji prezydent USA – rządzący od dwóch lat John F. Kennedy – zarządził morską blokadę Kuby i zażądał od ZSRR wycofania rakiet i cofnięcia konwoju. Zagroził atakiem bombowym na wyrzutnie i zatapia- niem statków, które naruszają blokadę. Nuklearna wojna między obu supermocarstwami zawiśła na włosku. Zanim jednak do niej doszło, zaczęły się intensywne negocjacje. Związek Radziecki do wojny nie był gotów, obawiały się jej też Stany Zjednoczone. Konsekwencje uderzeń jądrowych byłyby trudne do przewidzenia.



Rys. JANUARY

Polska, przepraszam za wyrażenie, opinia publiczna została wstrząśnięta kolejnym komunikatem z rosyjskich mediów, że Rosja zrobi nam kęs.

Niewielki teatrzyk jądrowy

Brzmiało to tak: „Weźmy na ten przykład Polskę, jako najbliższą nam. To najbardziej realny kandydat na niewielki teatrzyk niczym nieograniczonej wojny jądrowej. Czy tam znajdzie się 20 dużych miast? Wątpliwe. Nawet, jeśli policzyć, że na każde miasto trzeba dwie głowice, to najwyżej 30–40 głowic. Co to jest 30 głowic? To salwa jednej baterii Iskanderów. 16 rakiet po dwie głowice. Wystarczy 10–15 minut, by Polska jako państwo, a Polacy jako naród zniknęli z powierzchni ziemi razem ze swoim językiem”...

Tym razem tę interesującą diagnozę wygłosił członek rzeczywisty Akademii Nauk Wojennych, wiceprezydent Rosyjskiej Akademii Nauk Rakietowych i Artyleryjskich, Konstantin Siwkow. Oczywiście, u Władimira Sołowiowa, dyżurnego i sprawnego propagandzisty Rosji, nie takie obietnice wygłaszano pod naszym adresem. Tu jednak jest trochę inaczej, bo do tej pory byli to albo nadmiernie pobudzeni dziennikarze różnych mediów; albo emerytowani generałowie, którym lata służby na poligonach nie dodały ani umiejętności refleksji, ani panowania nad emocjami; albo politycy, którzy dla dobrego PR w nader popularnym programie Sołowiowa gotowi byli powiedzieć wszystko, byle zostać zauważonym. Tutaj jednak mamy do czynienia z czynnym oficerem, którego prognozy sprawdzały się do tej pory z niepokojącą dokładnością. A poza tym, trudno zaprzeczyć również i tej prognozie. Istotnie, możemy nie przetrzymać takiego eksperymentu. Pytanie tylko, jakie są szanse na jego realizację? Na mój gust, duże.

Rosjanie gotowi na konfrontację z Zachodem

Można do upojenia dyskutować, od czego zaczęła się eskalacja napięcia między Zachodem a Rosją. Ja bym zwrócił uwagę na artykuł Siergieja Karaganowa z czerwca 2023 r. Został on przedrukowany z pisma „Profil” w czytany z uwagą na całym świecie czasopiśmie „Russia in Global Affairs”. Tam po raz pierwszy (choć były i wcześniej podobne propozycje) poważny autor podniósł kwestię użycia przez Rosję taktycznej broni jądrowej w starciu z Zachodem.

„Wiele razy mówiłem i pisałem, że jeśli prawidłowo zbudować strategię odstraszania i nawet użycia [broni jądrowej – przyp. MW], ryzyko »odpowiedzi« jądrowej, jak zresztą i każdej innej, na naszym terytorium można sprowadzić do minimum. Tylko jeśli w Białym Domu będzie siedział szaleniec, na dodatek nienawidzący swojego kraju, Ameryka zdecyduje się na uderzenie »w obronie« Europejczyków, narażając się na odpowiedź, składając w ofierze umowy Boston za umowy Poznań”. Nie przywiązywałbym się do słowa „umowny” z artykułu Karaganowa. W takich tekstach przypadków nie ma. Dokładnie chodziło oto, by Polska usłyszała, że jednym z celów jest Poznań, a pewnie dokładnie Krzesiny, gdzie stacjonują F-16.

Umowność odchodzi w niebyt

Wtedy jeszcze wielu rosyjskich publicystów gruntownie i nie przebiegając w słowach skrytyko-

Ruski wir

wało Karaganowa – wpodobnie zresztą jak media zachodnie. Karaganow został zaliczony do „jastrzębi”, na dodatek nieobliczalnych. Choć, mówiąc szczerze, artykuł był dość wstrzemięźliwy. Autor zastrzegł się, że to „straszny wybór” i użycie broni jądrowej przyniesie Rosji „moralne straty”.

Później jednak pojawiły się kolejne artykuły i wypowiedzi, nie tylko Karaganowa zresztą. W nich z pewnej nieśmiałości w opowiadaniu, gdzie może spaść rosyjska jądrowa broń taktyczna, nie zostało śladu.

Już nie było tam żadnych „umownych” celów. Było za to wskazanie, że najpierw rakiety z głowicami jądrowymi powinny spaść na Polskę, Rumunię i Niemcy. Padły też propozycje, by odejść od układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, dając dostęp do niej wielu państwom: w Azji, na Bliskim Wschodzie, w Afryce i Europie. Pod kilkoma warunkami oczywiście. Gdy np. Iran odenie się oficjalnie od swej chęci zniszczenia Izraela. Gdy do funkcji władania bronią jądrową zostaną przygotowane odpowiednie kadry i elity, w których powstaniu Rosja, rzecz jasna, gotowa jest okazać „wszelką pomoc” itd.

Ważne jest też to, że kilka krajów należy z założenia pozbawić na zawsze dostępu do tego rodzaju uzbrojenia. To Niemcy, które powinny, jak mówi Karaganow właśnie, zostać zbombardowane, gdy choćby wyrażą chęć posiadania takiego oręża, Japonia i wszystkie państwa

uczestniczące w hitlerowskiej koalicji podczas II wojny światowej. Nie zapomniano też o Polsce, która, wskazywano, także powinna stać się celem uderzeń atomowych, gdyby zapragnęła posiadać głowice jądrowe. Plus różne scenariusze nowej struktury świata z małą szczyptą religijnej narracji.

Znaczna część z nich dotyczyła nowej struktury Europy i świata, współpracy Rosji z Chinami, upadku Europy, niskiej jakości intelektualnej elit tzw. kolektywnego Zachodu i pomysłów na nowe organizacje światowe, które powstaną na miejsce ONZ, którego czas, jak twierdzą autorzy tych koncepcji, już się skończył.

Mówiąc inaczej, swego rodzaju przygotowanie ideologiczne zostało dokonane. Po zachodniej stronie również nie brakowało deklaracji gotowości do zobaczenia grzybów atomowych nad Rosją – i to z ust najwyższych urzędników państwowych. W każdym razie strony wymieniały się scenariuszami, choć margines, że to tylko scenariusze, wydawał się dość duży. Tak było jeszcze kilka tygodni temu.

Zachód zachęca

Uważany za nader proamerykańskiego polityk brytyjski David Cameron, były premier, a obecnie minister spraw zagranicznych UK, był uprzejmy poinformować świat i Rosję w szczególności, że

W rezultacie osiągnięto porozumienie, Chruszczow zrobił krok do tyłu. Zgodził się wycofać z Kuby rakiety i zawrócić konwój. W zamian Stany obiecały poniechać prób interwencji zbrojnej przeciw Kubie Fidela Castro oraz wycofać rakiety z terytorium Turcji. Ponieważ to porozumienie osiągnięto bez konsultacji i akceptacji Fidela, nie krył on swego niezadowolenia i odmówił zgody na amerykańską kontrolę wycofywania rakiet na miejscu, czyli na Kubie. Zastąpiono to teatralnym wybiegiem: rakiety wracały do ZSRR na otwartych pokładach okrętów, które w odpowiednim miejscu zwalniały, aby umożliwić lotnictwu USA kontrolę z powietrza. Efektem tego kryzysu było też ustanowienie „czerwonego telefonu” dla bezpośredniego kontaktu najwyższych władz supermocarstw w celu zapobiegania następnym kryzysom.

Kennedy pozosta- wił swym następ- com przestro- gę: aby w wypadku konfliktu z mocar- stwem dysponują- cym bronią nukle- arną nigdy nie stawiać rywala w sytuacji bez wyj- ścia, gdyż w despe- racji może zdecy- dować się na atak i rozpętać piekło.

Należy zawsze zostawić mu drogę odwrotu. Ta przestroga była respektowana przez kolejnych prezydentów USA. Joe Biden także ją honoruje.

Chruszczow w swoim kraju i obozie był atakowany za wykazaną wobec USA ustepliwość. Na jakimś spotkaniu w Rumunii przedstawiciel Albańskiej Partii Komunistycznej Hyusni Kapo zarzucił mu tchórzstwo i oświadczył, że mały naród albański walczyłby do śmierci i byłby zaszczycony wspólnym z radzieckimi towarzyszami grobem w tej walce, byle tylko pokonać USA. Chruszczow



Vietcongowi broni nuklearnej, głównie w celu zablokowania dróg dostaw posiłków i zaopatrzenia z Wietnamu północnego. Kolejni prezydenci USA takiej zgody odmawiali, obawiając się niewielkiej skuteczności tej broni w dżungli – ale przede wszystkim negatywnych reperkusji wśród narodów państw pokolonialnych. Brali także pod uwagę niebezpieczeństwo eskalacji konfliktu w wyniku włączenia się doń Chin lub ZSRR.

Dochodzili do wniosku, że Wietnam nie jest wart ryzyka wojny światowej, podobnie jak wcześniej Korea. Zauważmy, że każde z tych państw było większe i strategicznie ważniejsze od Ukrainy.

Po drugiej stronie zimnowojennego frontu, jeden z kolejnych radzieckich szefów sztabu generalnego, już za czasów późnego Breżniewa, wystąpił z propozycją prewencyjnego uderzenia nuklearnego na USA – zanim one zdążą stworzyć skuteczną broń antyrakietową. Natychmiast pożegnał się z posadą. Breżniew nie chciał ryzykować.

• • •

Te doświadczenia zimnowojenne, wbrew pozorom, są wciąż w pamięci decydentów wojny na Ukrainie. I słusznie. Prezydent Biden z uporem powtarza, że nie pośle na Ukrainę ani jednego amerykańskiego żołnierza a również, że – wspierając broniącą się Ukrainę „tak długo, jak będzie trzeba” – będzie tak sterować tą pomocą, aby nie spowodować eskalacji konfliktu.

Po stronie rosyjskiej niestety sporo jest pobrzękiwania nuklearną szabelką – ale raczej dla krzepienia własnych serc i straszenia Europy. Międzynarodowe opinie wywiadu amerykańskiego niezmiennie mówią o braku oznak przygotowań rosyjskich do ewentualnego użycia broni jądrowej. A bez tego trzecia wojna światowa jest bardzo mało prawdopodobna. Rosji na wojnę powszechną, globalną, zwyczajnie brakuje sił. Każdy miesiąc walk na Ukrainie te siły pomniejsza.

Odgłosy nuklearnego pobrzękiwania wyraźnie denerwują też Chiny i Indie – jedynych liczących się sympatyków Rosji.

W ogóle, na trzecią światową zbyt wielu poważnych amatorów nie ma. Trochę uchowało się w goniących za sensacją mediach. Jest zatem nadzieja, że wojna, jaką rozpętała Rosja na Ukrainie, wcześniej czy później zakończy się jak większość wojen: negocjowanym rozejmem i pokojem.

M.Z.

zgrzyliwie odpowiedział, że wcale mu się nie uśmiecha perspektywa wspólnego grobu z jakimś Kapo. Jednak kryzys kubański i jego rozwiązanie przyczyniło się do upadku Chruszczowa w 1964 r.

300 doradców, pół miliona żołnierzy

Wojna Wietnamska (1955–1975). Od końca II wojny światowej trwała w francuskiej kolonii Indochin rewolucja narodowo-wyzwoleńcza o zabarwieniu lewicowym, komunistycznym. Najsilniejsza w największym z państw indochińskich Wietnamie z ponad 60 milionami mieszkańców.

Francja tę wojnę szybko przegrała; ostateczną klęskę poniosła w bitwie pod Dien Bien Thu. Do niewoli poszło 11 tys. Francuzów, w tym doborowa dywizja spadochronowa. Wycofując się Francję zastąpili Ame-

rykanie – w obawie, że sterowany z Moskwy płomień rewolucji po opanowaniu Indochin zagrozi całej Azji południowo-wschodniej, od Burmy po Filipiny.

Zaczęło się niewinnie, od 300 amerykańskich doradców przy neokolonialnym rządzie Wietnamu – ale w 10 lat później w dżungli indochińskiej walczyła już półmilionowa armia amerykańska, a wszystkie państwa indochińskie bombardowało amerykańskie lotnictwo.

Stany Zjednoczone tę wojnę też przegrały, mimo kolosalnej przewagi w ludziach i przede wszystkim w uzbrojeniu. Przegrały wskutek zdecydowanej niechęci do wojowania o Indochiny w społeczeństwie amerykańskim. Późniejszy prezydent USA Bill Clinton w studenckich latach – wraz tysiącami kolegów – emigrował na studia do Anglii, aby uchylić się od służby wojskowej i Wietnamu. Nikt

mu tej dezercji nie miał za złe. Straty amerykańskie wyniosły 60 tys. poległych i ponad 300 tys. rannych.

Dopiero doradca prezydenta Richarda Nixona do spraw bezpieczeństwa narodowego dr Henry Kissinger, na podstawie kontaktów z przywódcami Chin Ludowych dociekl, że partyzantka wietnamska nie jest radziecką marionetką, lecz niezależnym ruchem narodowym, który nie zagraża Stanom Zjednoczonym i Azji południowo-wschodniej. Dzięki temu rozeznaniu sytuacji i współpracy z Chinami, Stany Zjednoczone zawarły pokój w Wietnamie, wycofując swoje wojska. Armia Vietcongu zajęła Sajgon jesienią 1975 r. Henry Kissinger, współautor porozumienia kończącego wojnę, otrzymał w 1973 r. pokojową nagrodę Nobla.

W czasie wojny i w obliczu klęski amerykańscy dowódcy kilkakrotnie występowali o zgodę na użycie przeciw



jego kraj pozwoli Ukrainie na użycie broni dalekiego zasięgu, produkowanej na wyspach, do uderzeń na cele w głębi Rosji. Potem było trochę zamieszania: następnego dnia ten fragment jego wypowiedzi cudownym sposobem zniknął z oficjalnych dokumentów, ale nie na długo. Na rosyjską odpowiedź nie trzeba było długo czekać: Ławrow, czyli rosyjski odpowiednik Camerona, rzekł, że jeśli Brytania uderzy na cele w Rosji, to Rosja uderzy w brytyjskie cele w dowolnym punkcie kuli ziemskiej i gotowa jest to zrobić przy pomocy broni jądrowej.

21 maja Rosja i Białoruś rozpoczęły manewry mające na celu przygotowanie do praktycznego zastosowania wobec Ukrainy i Europy Zachodniej taktycznej broni jądrowej. Z kolei Jens Stoltenberg, sekretarz generalny NATO, zakomunikował, że

Zachód powinien zezwolić Ukrainie na użycie każdej rodzaju uzbrojenia przez Zachód dostarczonego. Powtórzył tę zachętę wysoki przedstawiciel Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa Josep Borell. Rosja ustami Putina w czasie jego wizyty w Uzbekistanie stwierdziła, że użycie zachodniej broni na cele rosyjskie będzie potraktowane jako bezpośredni atak tych państw-producentów na Federację Rosyjską – argumentując, że użycie tak skomplikowanych wyrobów wojskowych jest możliwe tylko przy bezpośredniej pomocy wyspecjalizowanych oficerów armii zachodnich. Ze strony zachodniej padła deklaracja, że 10 krajów taką zgodę wydaje, w tym Wielka Brytania i Francja, a zatem państwa władające głowicami jądrowymi. Na dodatek Szwecja ze swej strony oddała Ukrainie do dyspozycji swoje samoloty wczesnego ostrzegania, które działają jedynie w ścisłej koordynacji z systemem ostrzegania NATO i obsługiwane są wyłącznie przez przygotowanych oficerów armii Królestwa Szwecji. Niektórzy rosyjscy eksperci już ocenili to jako nieformalne wypowiedzenie wojny Rosji.

Niemal w tym samym czasie skutecznie ostrzelano rosyjskie radary wczesnego ostrzegania, wchodzące w skład Strategicznych Sił Jądrowych. Według doktryny wojskowej FR, atak na którykolwiek z elementów wspomnianych sił może spowodować odpowiedź strategicznymi raketami balistycznymi. Akurat w USA ten atak oceniono krytycznie.

Zatem, jak twierdzi wspomniany Siwkow, świat został wciągnięty w „wir wojny”: sytuację, w której to nie politycy decydują o kolejności wydarzeń, a przeciwnie, wydarzenia wymuszają na nich określone decyzje, przy czym decyzje te mogą być jedynie prowojenne.

Mówiąc inaczej, jesteśmy w punkcie, w którym zawrócić z drogi wiodącej ku bezpośredniej wojnie NATO z Rosją będzie niesłychanie trudno.

Pomysły na małą apokalipsę

Rosjanie przewidują kilka możliwych sytuacji, by wojna, choć się zacznie, nie rozlała się na cały kontynent i świat.

Pierwszy, to posłuszenie się proxy wojskiem, jak np. jemeńscy Hutu, którzy odpalą dostarczone im nieoficjalnie pociski lub rakiety z głowicami jądrowymi na cele w natowskich krajach Europy. Drugi to ostrzelanie skutecznie bronią konwencjonalną lub jądrową baz lub terytoriów zamorskich tych krajów, położonych poza Unią Europejską: słabo zaludnionych lub niemal niezamieszkałych, których status nie pozwala zastosować art. 5 NATO.

Trzecim sposobem może być sprzedaż broni jądrowej państwu możejżnionemu np. Wenezeli. Czwarty przewiduje procedurę, w której – po zbadaniu miejsca trafionego zachodnimi raketami i potwierdzenia przez specjalnie powołaną międzynarodową komisję, że jakiś cel na terenie Rosji został zaatakowany przy użyciu brytyjskiej czy francuskiej rakiet lub drona – Rosja oficjalnie ogłosi, że została zaatakowana przez państwo, które dostarczyło ten sprzęt. I wówczas zniszczy jeden lub kilka sputników wojskowych lub podobne do rosyjskich stacje radarowe. Ewentualnie postawi strategiczne siły jądrowe w stan pełnej gotowości przy jednoczesnym przekazaniu części taktycznej broni jądrowej do wydzielonych jednostek wojskowych wraz ze wskazanymi celami. No, jakoś tak. Plus jeszcze kilka innych pomysłów.

Opowiadam tak drobiazgowo, co się dzieje w części rosyjskiej przestrzeni informacyjnej, by sformułować wnioski natury ogólniejszej.

Otóż odnoszę silnie umotywowane wrażenie, że Rosjanie przekroczyli pewną ważną granicę mentalną. Jakby to para- doksalnie w obecnej sytu- acji międzynarodowej nie brzmiało, do 2022 roku obywatele Rosji w znako- miteit większości byli na- stawieni antywojennie.

Wpłynęła na to pamięć o II wojnie światowej, zwanej u nich Wielką Wojną Ojczyźnianą, w której obywatele – wówczas – ZSRR położyli do piachu 27 milionów swoich rodaków. Ten ogromny wstrząs był przez dziesięciolecia istnienia ZSRR wzmacniany całą kulturową falą: literaturą, kinematografią, narracją historyczną. W niej ZSRR był zwycięzca, ale jednocześnie pokazywano, jak wysoką cenę trzeba było za to zapłacić. Być może to był też jeden z powodów, dla którego do opisu rosyjskiej interwencji na Ukrainie przez długi czas unikano słowa „wojna”, zastępując je „specjalną operacją wojskową”. Być może nawet to działało. Teraz jednak przestało.

Jestem zdania, że społeczeństwo rosyjskie jest już gotowe do wojny na pełną skalę. Jeśli przypomnieć wciąż wysokie poparcie dla Władimira Putina, oscylujące wokół 80 proc., to w gruncie rzeczy recepta na rozpoczęcie wojny na pełnej petardzie jest gotowa.

MACIEJ WIŚNIEWSKI

**ETYKA
BEZBOŻNA**

Do czego służą kajdanki?

O bezmyślności paniki moralnej



Rys. KRZYSZTOF OLEŃK

Każdy cywil wie, że kajdanki mają zastosowania nieprzyzwoite bądź policyjne. Z dwojga złego wolałbym zostać przykuty do łóżka, jakkolwiek nie ma chętnych, aby mnie tak słodko skrzywdzić. Co do policji zaś, to zawsze jest szansa. Tym bardziej, że są takie kraje, gdzie właściwie zakładają ci kajdanki na dzień dobry przy jakimkolwiek sporze z policją bądź w jej obecności. Do krajów tych nie należy Polska, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby w Żandarmerii Wojskowej panowały inne zwyczaje.

Nie mnie, ale i nie nam wszystkim, oceniać, czy zastosowanie kajdanek wobec żołnierzy było właściwym i proporcjonalnym środkiem represyjnym. Po prostu nie znam szczegółów tamtej sytuacji. Jakże mógłbym zabierać głos w tej sprawie? A jednak... A jednak wystarczyło odpalić sensację, że „polski mundurowy potraktowany jak pospolicity bandyta” i już pół Polski nie posiada się z oburzenia. Jak to tak?! Polski żołnierz w kajdankach? Kto śmiał obrazić honor polskiego żołnierza i polskiego munduru?! Ano śmiał jakiś inny żołnierz. Kiedyś się dowiemy, czy były po temu powody, czy może obeszłoby się bez kajdanek. Albo się nie dowiemy.

Przypuszczalnie cała sprawa jest prowokacją odpaloną na kilka dni przed wyborami. Tak sądzę, lecz skoro nie mam na to ani posłak, ani dowodów, na razie poprzestanę na wyrażeniu tego przypuszczenia. Pożyjemy, zobaczymy. Tym natomiast, co zadziwia mnie i przeraża tu i teraz, jest bezmyślna panika moralna, którą wywołało ujawnienie informacji o zatrzymaniu żołnierzy, którzy oddawali strzały ostrzegawcze. Tabuny polityków i komentatorów doznały wzmoczenia, czując, że to jest ten moment, w którym mogą bez ryzyka ośmieszenia uderzyć w patetyczne tony i stanąć w rzędzie liderów, ukazujących masom prawdziwe wartości.

Jakież to niskie i żałosne. Zamiast odwagi cywilnej, pokazali bezmyślność i brak odpowiedzialności. Bo nie jest żadną odwagą bronić skutych kajdanami, których bronić pędzą na wyprzódki tysiące i miliony. A jątrzyć i rzucać na wiatr oskarżenia o poniżanie żołnierzy to kompletny brak odpowiedzialności za słowa.

Jednak tania odwaga i śmieszny patos obrońców honoru polskiego munduru to nie wszystko. Heca, która się w tych dniach w Polsce odgrywa, ma długi kulturowy ogon. Otóż naszym wzmocnionym politykom wydaje się czymś oczywistym, że zakuwanie w kajdanki żołnierza jest czymś gorszym niż ta sama nieprzyjemna procedura zastosowana

wobec cywila. Mają bowiem z tyłu głowy, że żołnierz, gotów przelewać krew za cywila, jest kimś od nich lepszym i ma większe od nich prawa.

Tak bardzo tkwią jeszcze mentalnie w jakichś feudalnych pradziejach, tak silnie odzywa się w nich klasowe sponiewieranie albo klasowe uprzywilejowanie, że zupełnie jakby zapomnieli, że jesteśmy równi.

Kajdanki zakłada się profesorowi filozofii i żołnierzowi dokładnie z takich samych powodów, a mianowicie, jak się awanturuje z władzą (o bardziej ekscytujących powodach muszę już, jako się rzekło, zapomnieć). I jeśli jest ktoś, kogo potraktowanie w ten sposób wydawać się może bardzo podejrzane, to chyba musiałaby to być osoba starsza albo niewielkiej postury kobieta.

Ale nie dlatego, że siwmy włosom należy się szacunek, a kobiety to nawet kwiatkiem...

Po prostu dlatego, że osoby niemające znacznej siły fizycznej nie stanowią zagrożenia. I to jednak może być złudne. Różne są bowiem okoliczności.

Żołnierze na granicy białoruskiej strzelają na postrach niemal codziennie, więc chodziło zapewne o coś więcej, niż samo strzelanie. Może kule przechodziły na drugą stronę plotu? Może między wojskiem i strażą graniczną doszło do awantury i ktoś kogoś zaczął szarpać?

Powiedziałbym, że nieszczerłonie wydaje mi się to nieprawdopodobne. Nie wydaje mi się to również jakimś szczególnym skandalem, godnym ogólnokrajowej wrzawy. Niemniej jednak, skoro prawnicy mówią przy tej okazji, że brakuje precyzyjnych przepisów odnośnie do tego, w jaki sposób żołnierze powinni posługiwać się bronią w czasie pokoju, to trzeba grzecznie się zgodzić i uprzejmie postulować wypełnienie tej luki.

Jednakże nawet w przypadku, gdy przepisy będą jasne jak słońce, zawsze może dojść do awantury na tle użycia broni. Działania wojska, nawet w czasie pokoju, są bardzo stresujące, a już szczególnie wtedy, gdy się strzela. Oczywiście nie powinno dochodzić do takich sytuacji, gdy ktoś się z kimś szarpie, ktoś kogoś zakuwa w kajdanki albo wsadza do aresztu. Ale nawet jeśli już coś takiego się zdarzy, to można się przeprosić, gdy emocje opadną. Naprawdę żołnierze na granicy białoruskiej mają większe zmartwienia niż niesnaski pomiędzy formacjami i wynikające z tego przepychanki. A dla chłopków zakutych w kajdanki zapewne nie było to najgorsze w całej sprawie. Sprawie, której jeszcze nie znamy.

Nie ma niczego symbolicznego ani wyjątkowego w tym, że w kajdankach znajduje się akurat żołnierz. No, chyba że jest generałem. Wtedy mogłoby to robić wrażenie. Pomyślmy, jak dziecinne jest wydawanie z góry wyroku, że chłopcy zostali poniżeni w czasie zatrzymania i jakie głupie jest to, że tak gorliwie zajmujemy się kajdankami, zamiast dopytywać się, co oni takiego zrobili. Bo na razie wiemy tylko, że strzelali. Nie dlatego ich pewnie aresztowano, bo inni strzelali również. Może coś zbroili, a może nie. Czy naprawdę tak trudno wpaść na tę genialną myśl, że na oceny przyjdzie czas, gdy będziemy wiedzieć więcej? Najwyraźniej zdrowy rozsądek i krytycyzm nie mają wzięcia, gdy budzą się archaiczne emocje i ożywają stare klisze kulturowe. Niestety, polityka jest na takie zjawiska zupełnie nieodporna. Z powodu kajdanek, nawet tych łóżkowych, można przerznąć wybory. Durny, durny jest ten świat.

JAN HARTMAN

Partyjna pożywka z trupa.

Doszliliśmy w naszym kraju do tak absurdałnej sytuacji, że wszystko staje się grą partyjną, zaś politycy nie cofną się przed żadnym kurewstwem, żeby władzę utrzymać (obecnie rządzący), odzyskać (PiS) lub po raz pierwszy zasiąść na ministerialnych stołkach i paść się radami nadzorczymi (Konfederacja). Kiedy więc zmarł ugodzony nożem na granicy polsko-białoruskiej 21-letni żołnierz Mateusz Sitek, nad trumną młodego człowieka zleciały się polityczne sępy, traktując jego śmierć jako świetną okazję do poprawienia sobie notowań na ostatniej prostej przed eurowyborami.

Jasnym się stało, że choć sęp płowy (*Gyps fulvus*), który do początku XX w. łęgi wyprowadzał w Tatrach i Pieninach, jest gatunkiem sporadycznie widywanym w Polsce – to jednak na Wiejskiej w Warszawie można odnaleźć wielu jego drapieżnych kuzynów, wypatrujących padliny świeżo padłych ssaków, aby wyjadać z nich wnętrzności i mięso. Martwe ciało Sitka okazało się nader pożywne i treściwe, choć gdy widzę ten krwawoczerwony spektakl, mi – a mam nadzieję, że także wielu innym osobom – zbiera się na wymioty.

Festiwal militarizmu

Znana badaczka krytyczna Cynthia H. Enloe w książce „Maneuvers: the international politics of militarizing women's lives” definiuje militarizm jako stopniowy proces, w którym osoba lub rzecz staje się kontrolowana przez wojsko, bądź uzależniona swój dobrobyt od idei militarystycznych. Wciąż czekamy na polskich uczonych, którzy poddadzą analizie militarizm Najjaśniejszej Rzeczypospolitej – ale reakcjom polityków, wojskowych i mediów na śmierć żołnierza na granicy powinni oni przyjrzeć się szczególnie wnikliwie.

Premier Tusk był na posterunku, publikując na platformie X: „Młody żołnierz, Mateusz, oddał życie w obronie granicy Rzeczypospolitej. Ojczyzna i rodacy nie zapomną o tej ofierze. Jego bliskim składam wyrazy najgłębszego współczucia”.

Szef MON i lider PSL-u, Władysław Kosiniak-Kamysz, poczuł się wywołany do tablicy, oświadczając: „Z głębokim żalem żegnam naszego żołnierza Mateusza, który pomimo wysiłków lekarzy zmarł po bandyckim ataku podczas obrony polskiej granicy. Jego poświęcenie i oddanie dla Ojczyzny są przykładem najwyższej odwagi. Łączymy się w ból z rodziną i bliskimi. Cześć Jego pamięci!”.

Były premier, Pinokio Morawiecki, odwiedził przygraniczną miejscowość Dubicze Cerkiewne i mówił, że jeżeli

„żołnierze boją się bronić siebie i granicy przed atakiem nielegalnych migrantów, a tak naprawę przed atakiem Łukaszenki i Putina, to będzie dochodzić do takich sytuacji”. Zażądał dymisji Tuska i stwierdził, że minister sprawiedliwości Bodnar ma „krew na rękach”.

Milutki i obdarzony ciepłym uśmiechem ministrant, marszałek Sejmu Szymon Hołownia, stał się jastrzębiem, pytając retorycznie: „Czy żołnierz ma prawo strzelać do bandyty, który go atakuje, przychodząc z tamtej strony? To przecież oczywistym jest, że ma prawo. Ba, powinien to robić, żeby bronić siebie, kolegów, koleżanki, żeby bronić nas wszystkich. Co do tego nikt nigdy nie powinien mieć żadnych wątpliwości”.

Posłany przez Hołownię do senatu gen. Mirosław Różański podkreślił, że aby uniknąć kolejnych śmierci wojskowych na granicy z Białorusią, trzeba ich wyposażać „w takie regulacje prawne, które pozwalałyby na bezpieczne względem prawa a skuteczne w stosunku zagrożenia działania”, zaś żołnierze powinni być „wyposażeni w prawo użycia broni adekwatnie do wykonywanego zadania”.

W formie był gen. Waldemar Skrzypczak, który wypuklał, że na granicę trzeba wysyłać wyszkolonych żołnierzy, skarżąc się, „że fizyczna ochrona granicy nie zapewnia bezpieczeństwa tym żołnierzom. Trzeba stworzyć pas małowidocznych zapór, których nie da się przekroczyć. Stawia się je i żaden bandyta nie przekroczy granicy, bo się w nich zaplącze na śmierć”. Dodał buńczucznie: „Nie może być kontaktu fizycznego bandyty z naszym żołnierzem. Nasz żołnierz zginął, został zamordowany przez bandytę, który doszedł do niego i miał z nim kontakt fizyczny”.

Zastanawiam się tylko nad naszą zdolnością do obrony przed agresją ze wschodu, gdy polscy żołnierze mają unikać kontaktu fizycznego...

Wszyscy mówią Korwinem

Doskonały wynik Konfederacji w wyborach do Parlamentu Europejskiego wyraźnie świadczy o tym, że w oczach wyborców brunatni jawią się jako ostatni sprawiedliwi i jedyni uczciwi, jeśli idzie o kwestie migracji do Polski i postępowania z przybyszami próbującymi się dostać przez Białoruś do naszego kraju.

Znamienne, że jeszcze kilkanaście miesięcy temu nawoływania do mordowania obcokrajowców były uznawane za skrajne, zaś konfiarze za takich, którzy sami wykluczają się z grona ludzi cywilizowanych.

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

✳ Zakończyły się wybory do europarlamentu. U naszych sąsiadów dobre wyniki osiągnęła antywojenna lewica – na Słowacji Smer-SD i Hlas-SD zdobyły łącznie 32 proc. głosów; nad Węttawą na Komunistyczną Partię Czech i Moraw startującą z antywojennej listy Stačilo! zagłosowało 9,56 proc. wyborców; z kolei w landach wschodnich Niemiec sprzeciwiający się militaryzacji Ruch Sahry Wagenknecht (BSW) uzyskał od 12,6 do 16,4 proc. poparcia. W Polsce tzw. lewica w bólach zdobyła 6,3 proc. głosów i wysłała do europarlamentu Roberta Biedronia wraz z kochankiem oraz dawną współpracownicę Ryszarda Petru – Joannę Scheuring-Wielgus. Ów tercet będzie zapewne z przekonaniem wzywał do kontynuacji wojny i powtarzał za również „lewicowym” wiceministrem spraw zagranicznych Andrzejem Szejną, że „Joe Biden jest dla nas darem niebios”.

✳ Z inicjatywy prezydenta Francji Emmanuela Macrona odbyły się obchody 80. rocznicy lądowania wojsk alianckich w Normandii. W przemówieniach polityków nazistowskie Niemcy zastąpiła współczesna Rosja, a honorowym gościem był odwołujący się do hitlerowskich kolaborantów z UPA i SS-Galizen Wołodymyr Zeleniśki. Za rok proponujemy ogłosić, że lądowanie w Normandii przypieczętowało zwycięstwo USA, III Rzeszy i partyzantów z UPA nad rządzoną przez Putina Rosją.

✳ Minister spraw wewnętrznych i administracji Tomasz Siemoniak ujawnił w TVP Info, że rząd przekaże 10 mld zł na budowę bagien i mokradł na wschodniej granicy. Kto bogatemu zabroni?

✳ Interesujący reportaż Anny Conkling opublikował amerykański portal „Daily Beast”. Autorka opisuje, jak mieszkańcy Donbasu traktują „wyzwoliciele” z Sił Zbrojnych Ukrainy: „Siergiej i jego jednostka od dwóch miesięcy stacjonują w Kupiańsku (jedno z ważniejszych miast regionu charkowskiego – przyp. MS) i czują, że wielu mieszkańców chce, żeby się wynieśli: »Żołnierze mówili, że nie chcą wynajmować mieszkań w mieście. Boją się, że mieszkańcy powiedzą Rosjanom, gdzie mieszkają i zostaną zbombardowani». Siergiej słyszał także o cywilach, którzy podają się za ochotników chętnych pomóc armii, a w rzeczywistości współpracują z Rosją i dostarczają żołnierzom zatrutą żywność. »Nie przyjmujemy żadnego jedzenia, bo wiemy, że może być zatrute« – mówi Siergiej. »W ostateczności bierzemy, zamykamy drzwi, wylewamy do zlewu, zmywamy i oddajemy puste talerze. Zjedzenie zupy nie jest warte życia« – dodaje. W Łymaniu (obwód doniecki), 115 kilometrów od Kupiańska, mężczyzna rozmawiający z nami prosi o anonimowość i pyta: »Co zrobiła Ukraina? Trzydzieści trzy lata niepodległości, a oni po prostu zniszczyli to, co zbudowali komuniści. Ukraina była silna i co się stało? W Związku Radzieckim było lepiej. Niemożliwe jest dalsze życie na Ukrainie, jak dotychczas. Najlepszą opcją jest być w Rosji« – dodaje mieszkaniec Łymania”.

MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com

Sitek na ołtarze

Święty od zaraz

Koszulką najbardziej odpowiednią dla polskiego patrioty oraz oddającą charakter narodu jest tak zwana żonobijka. Siatkowy podkoszulek podkreślający tępa brutalność i brutalną tępotę. Jeszcze tylko w USA potyranie kobietami, epatowanie chamstwem było na tyle popularne i akceptowalne, aby przyczyniło się do nazwania fragmentu męskiej bielizny (Amerykanie nazywają ją „wife beater”). Paweł Szopa, twórca firmy tekstylno-patriotycznej Red Is Bad, przy legendzie żonobijki może się schować. A ja raptem dowiaduję się, że premierka Danii Mette Frederiksen oberwała na ulicy z piąchy od sfrustrowanego i najeбанego 39-lata. Tak, emigranta z Polski.

Powinniśmy stworzyć specjalną brygadę jednoczesnych posiadaczy kutasa i Błękitnej Karty. Wysłać na granicę polsko-białoruską do pacyfikowania ciapatych. Żaden polski żołnierz by więcej nie zginął!

Serio, już sobie wyobrażam zwarcie krewkich polskich emigrantów, damskich bokserów ze śniadymi imigrantami. A do zabezpieczenia tyłów gajowy i jego dzik – wszakże Kosiniak-Kamysz właśnie podpisał porozumienie z Polskim Związkiem Łowieckim. Minister chce „wykorzystać dla obronności potencjał myśliwych, którzy mają pozwolenie na broń i są odpowiednio wyszkoleni”. Trzeba nieźle przy-

Polityczne sępy

Dziś to jest główny nurt rozważań o tym, co należy czynić na wschodniej granicy.

Jeszcze we wrześniu ubiegłego roku Janusz Korwin-Mikke w filmiku na YouTube nawoływał do otwarcia ognia do uchodźców przekraczających polską granicę. Gwoli ścisłości: jak to seksista, namawiał do strzelania do mężczyzn, a dla kobiet i dzieci proponował obozy. I pytał retorycznie: „Jeżeli mamy każdego wpuszczać, to po co granice?”

Prokurator Maciej Młynarczyk ze stowarzyszenia Lex Super Omnia skomentował wyskok Korwina słowami (cytuję za „GW”): „Straż Graniczna może używać broni palnej tylko w sytuacjach ściśle określonych w ustawie. W innych wypadkach strzelanie do ludzi może stanowić przekroczenie uprawnień przez funkcjonariusza publicznego. (...) Jeśli więc ktoś w czasie ogólnodostępnej transmisji twierdzi, że do uchodźców przekraczających granicę trzeba po prostu w każdej sytuacji strzelać, możemy mieć do czynienia z publicznym pochwalaniem przestępstwa, za co grozi odpowiedzialność karna z art. 255 § 3 kodeksu karnego”.

Przypomnijmy też słowa Dobromira Sośnierzera z października 2023 r., który swoje stanowisko wyłożył w prostych, żołnierskich słowach, zalecając strzelanie do migrantów, także kobiet. Podkreślał przy tym, że „żadne poważne państwo nie pozwala się intruzom przedostawać”. W tym samym miesiącu na antenie Radia ZET Przemysław Wipler, szara eminencja Konfy, zapowiadał, że jego partia pozwoli strzelać do migrantów, „jeśli nie będzie innych metod”.

Dziś, po śmierci żołnierza, prominentni politycy skrajnej prawicy powtarzają na prawo i lewo swoje słowa, zbierając poklask gawiedzi. Oni stoją tam, gdzie stali, ale z dziwołagów i kuriozów przedzierzgnęli się w przewidujących mężów stanu.

Cel uświnka środki

Politycy i media milcząco zakładają, że cel, jakim jest „obrona Ojczyzny”,

uświeca wszelkie środki. Życie „naszego” żołnierza jest bezcenne, życie „bandytów”, którzy nastają na jego życie, jest właściwie bezwartościowe. Ot, ofiary uboczne troski o spokój ducha Polaków, zgodnie z zasadą, że ktoś (wojskowy, pogranicznik) czuwa, aby zwykli Kowalscy mogli wieść bezpieczne życie: chodzić do szkoły czy pracy, pić Harnasia pod Zabką.

Jak jednak zauważa w pewnym artykule naukowym teoretyk polityki z Uniwersytetu Warszawskiego Mirosław Karwat, „święty” cel nie tyle uświeca środki, ile je „uświna”, bo „pociąga za sobą gotowość do całkiem nieświętych sposobów działania”. Jasne jest, że skoro jesteśmy – jak za wojskowymi powtarzają dziennikarze i politycy – w „stanie wojny”, to trzeba

minimalizować straty własne, co zawsze jest równoznaczne z zadawaniem strat wrogowi.

Pragnę jeszcze zwrócić uwagę na jeden ważki element. Dziś wojowanie uchodzi za zadanie dla profesjonalistów, nawet kraje prowadzące wojnę zwykle stroną od przymusowego poboru rekruta. Niemniej jednak w niepokojnych czasach wojskowi jawią się jako ucieleśnienie patriotów, godzących się iść na śmierć dla swego kraju, aby chronić – jak to się mówi – cywili, zwłaszcza kobiety i dzieci. Tu włączają się wszelkie popkulturowe stereotypy męskich zbawców.

Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że urabianie opinii publicznej spowoduje, że wojskowi i strażnicy graniczni łatwiej będą sięgać

po broń, motywując to ochroną własną lub współobywateli. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Jak czytamy w książce Urszuli Jareckiej „Nikczemny wojownik na służonej wojnie”, „żołnierze działają w warunkach niejasnych, a podejmowanie decyzji przypomina rozwiązywanie równania z wieloma niewiadomymi przez przerażonego ucznia, który nie odrobił lekcji. Nie ma znaczenia, jak dobrze są uzbrojeni i przygotowani, niepewność otoczenia wywołuje zazwyczaj silny stres i strach niekiedy nie do opanowania”.

Przemoc wróci jak bumerang

Filozof kultury i psychoterapeuta Andrzej Leder zauważył trzeźwo na porta-

lu „Krytyki Politycznej”, iż nawet gdy („czerniawy jakiś”) agent Putina wmieści się w tłum migrantów na granicy z Białorusią, to zadaniem wojskowych jest zidentyfikowanie go i wyłuskanie z tłumy. W innym wypadku pałuje się wszystkich zgodnie z zasadą odpowiedzialności zbiorowej: „Chcemy, żeby ci nieszczęśnicy, których dręczono już w Syrii, Afganistanie albo Kongu, mieli teraz łamane kości przez dzielnych chłopców z orzełkiem? Naprawdę?!”.

Leder zwraca też uwagę na fakt, który większości ludzi umyka; nie pomagają go uchwycić środki przekazu: „I niech nikt nie myśli, że ci, którzy nauczyli się łamać kości migrantów, nie będą tego umieli robić mieszkankom Warszawy czy Gdańska. Poprzednia władza pokazała dobitnie, łamiąc w Warszawie kości dziecku biorącemu udział w pokojowym protestie, że można to robić również na ulicach polskich miast. Chyba nawet to lubiła”.

Jeśli pozwala się, a nawet pochwała, łamanie prawa i łamanie kości, nawołując do zbrodni i strzelania w imię „patriotyzmu” (a tak naprawdę zjadliwego nacjonalizmu), to ludziom, którzy „tylko wykonują rozkazy”, nie zadrży ręka.

Będą strzelać do każdego, nie tylko tych różniących się od nich kolorem skóry. Wystarczy, że powie się im, że poza wrogiem zewnętrznym istnieje wróg wewnętrzny. Tylko tyle i aż tyle.

Tusk, Hołownia i Kosiniak-Kamysz dziś decydują, kogo pałować i oblewać armatkami wodnymi, a nawet potrakować ostrą amunicją. Jutro – jako wrogowie coraz prawdopodobniejszego w przyszłości rządu PiS-u i Konfy – mogą zostać potraktowani tak samo. Już lata temu Korwin w internecie odgrywał scenkę z dosłownego polowania (z wiatrówką) na lewaka. Pomyślmy o być może coraz bliższej sytuacji, gdy jego wychowankowie będą mogli użyć policji i wojska przeciwko owym osławionym lewakom zatrawiającym, niczym migranci z Afryki, zdrową tkankę Narodu Polskiego...

KATARZYNA KOENIG



dzbanic, aby podpisać taki dokument w tygodniu, kiedy Patriotyczna Polska Armia nie schodzi z pierwszych stron internetowych. A to zielone chłopaki okazali się być fanami filmu „Jak rozpętałem II wojnę światową”. A to ktoś z nich się zgubił, a inny znalazł i od razu sztywny. Na policję matka 15-lat-

ka przyniosła karabin wyborowy BOR, który znalazł jej dzieciak, a który zgubił żołnierz wojsk obrony terytorialnej podczas nocnych ćwiczeń. Etc.

Jednak prawdziwym szokiem okazało się dla społeczeństwa to, że polski żołnierz jest istotą śmiertelną. Był to i szok dla samych młodych trepów,

którzy obiecują „no mercy” za zabicie nożem kolegę, najwyraźniej nie pamiętając, że chceć sobie mogą wiele, ale za to, co mają robić, odpowiada dowódca. Właśnie tym się różni tzw. służba od dowolnego napierdalania się, kiedy jest się na przykład kibolem czy idzie się na solo na szkolne boisko.

...

Czuje głęboki niesmak, gdy czytamy: „Jeśli zginę, trudno. Taka jest cena. W Polsce męczyło mnie, że moje życie nie służy ani mnie, ani nikomu innemu. Teraz wiem, że robię to, co powinienem. Coś wartościowego. Wreszcie czuję spokój”. To z tekstu Tatiany Kolesnychenko „Polacy na wojnie w Ukrainie. »Przyjechałem zabić samotność«” (magazyn Wirtualnej Polski, 8 czerwca). Ja bym prosiła, aby wreszcie zacząć pokazywać te czarne wory, w których wracają z ukraińskiego frontu polscy najemnicy, bo istotnie młodzieńczo myśli, że jest nieśmiertelna. Nie jest tak, że pojedziecie, spuścicie frustę z krzyża i jeszcze zarobicie na kafelki w łazience swojej albo matki. Tak was uczył na ośkach, czy w liceach wojskowych?

...

Po pierwsze: trepy, to nie wasza wojna, nie wpierdalać się! Po drugie: mogą was zająć, a jeśli nie, to i tak przywieziecie wojenne traumy do Polski, a mamy już dość szalonych na ulicach. Po trzecie: będziecie musieli zabijać, ludzi zabijać, bo Rosjanin to też człowiek. Nawet jak myślicie inaczej. Chociaż zabijanie ludzi to dla was zapewne najmniejszy problem...

Tymczasem Wojskowy Instytut Medyczny ogłosił: „Po raz kolejny apelujemy o rozważę. [...] W trakcie opieki nad poległym żołnierzem wszystkie zamierzone i wykonane procedury medyczne zostały przeprowadzone bez najmniejszego uchybienia co do ich jakości i terminowości. Ratując jego życie i zdrowie, ratowaliśmy jednego z nas”... E, tam! Trzeba było powiedzieć: Łazarzu wstań! Czy aby zostały pobrane próbki krwi? Dużo próbek! Włosy? Paznokcie? Pozbierano splamione waciki? Nie wiecie, jak to się robi? W te pędy pytać Dziwisza!!! On wiedział, co robić, kiedy strzelano do Papy, albo kiedy po prostu zakładano Papie wenflon. Święta Sondo, módl

się za nami, Święta Kaczko, módl się za nami, wybac nam Święty Basenie, Święta Strzykawko, miej nas w swojej opiece!

Kurwa, polski żołnierz i nie żyje!!! Teologa dla narodu! Bo psycholog, a nawet psychiatra, to już psu na budę. Co zaś do samego sztywnego szeregowego Mateusza Sitka – minister Kosiniak-Kamysz skończył swoje z gajowymi i pośmiertnie odznaczył żołnierza Złotym Medalem za Zasługi dla Obronności Kraju. Dalej – wawonsował na sierżanta. Sierżant Sitek doczekał się notatki w Wikipedii: „polski wojskowy, żołnierz 1. Warszawskiej Brygady Pancernej, zamordowany przez migranta w czasie kryzysu migracyjnego na granicy polsko-białoruskiej. W latach 2020–2022 uczęszczał do klasy wojskowej III Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Wyszku. Jako uczeń wielokrotnie reprezentował szkołę w pocście sztandarowym, uczestniczył w przedsięwzięciach o charakterze patriotycznym oraz charytatywnym”. Ludzie, przecież to zdecydowanie za mało. SUBITO SANTO GO, GO!!!

IZABELA SZOLC

Papież myli pedały

Jezuityzm w służbie postępu

Franciszek ma dla każdego dobre słowo: dla wierzących i niewierzących, katolików i protestantów, Rosjan i Ukraińców, gejów i homofobów. Ma swoje poglądy, ale się z nimi nie zgadza. Wysłał komunikat: takie jest moje stanowisko,

ale jeśli się wam nie podoba, mam też inne. Istne wcielenie „jezuityzmu” definiowanego „jako zakłamywanie i przewrotny sposób postępowania przypisywany jezuitom”. Wybitny syn swojego zakonu.

Za dużo pedalstwa

Papież Bergoglio naraził się ostatnio społeczności LGBT, mówiąc do włoskich biskupów, że w seminariach jest za dużo „pedalstwa”, a biskupi powinni ściślej stosować się do polecenia Benedykta XVI, aby nie wyświęcać gejów na księży. Szef Kościoła kat. użył włoskiego słowa „frocgiaggine”, przetłumaczonego przez polskie me-

dia na „pedalstwo” właśnie. Jako obraźliwe odebrały to słowo włoskie media i tamtejsi homoseksualiści. Komentatorzy przychylniejsi papieżowi próbowali tłumaczyć go tym, że włoski nie jest rodzimym językiem tego Argentyńczyka i może on sobie nie zdawać sprawy ze wszystkich subtelności włoszczyzny. Inni podkreślali, że było to spotkanie za zamkniętymi drzwiami i rewelację, niczym z konklawe, wyniósł do mediów jakiś pewnie niesprzyjający Franciszkowi biskup. Na zamkniętym spotkaniu Bergoglio może pozwolić sobie na więcej, nie znamy konwencji ani kontekstu. Może żartował, może ironizował. Może wcale tego nie powiedział, tylko wrogowie sobie zmyślili. A wrogów trochę ma.

Zmyślili czy nie, rzecznik Watykanu Matteo Bruni w imieniu papieża przeprosił. „Papież nigdy nie zamierzał obrażać ani wypowiadać się w sposób homofobiczny i kieruje swoje przeprosiny do tych, którzy poczuli się obrażeni przez użycie sformułowania przytoczonego przez innych” – napisano w oświadczeniu papieskiego biura prasowego. Przeproszenie „tych, którzy poczuli się urażeni” to najbardziej typowe „non-apology” („nie-przeprosiny”), czyli „jak przeprosić, żeby nie przeprosić”. Chcąc uchodzić za postępowego Franciszek nie może sobie pozwolić na homofobiczną gafę. Ale sobie pozwolił, puszczając oko do konserwatystów. Ci, osądzający go zazwyczaj od czci i wiary, pospieszyli go chwalić, a nawet tytułowali ojcem świętym zamiast Bergogliem.

Wolisz być homofobem czy naziołem?

Franciszek dopiero co podrażnił konserwę, a pojechał liberalów pozwoleniem na błogosławienie małżeństw jednopłciowych. Chodzi o błogosławieństwo, a nie udzielanie sakramentu małżeństwa. W kościołach błogosławi się też na przykład tornistry czy pola uprawne. Dla wielu jednak i taki ukłon w stronę społeczności LGBT to za wiele. Wydygani przed postępowością uznali, że to otwarcie furty do gejowskich i lesbijskich ślubów.

Istnie szachowym posunięciem opisali się afrykańscy biskupi. Tamtejszy Kościół rzymskokatolicki jest w większości konserwatywny i gardzi nowinkami. Kard. Fridolin Ambongo, przewodniczący Sympozjum Konferencji Episkopatu Afryki i Madagaskaru, uznał, że to „kolonizacja kulturalna” i rodzaj „zachodniego imperializmu, ale na poziomie kulturowym” ponieważ „praktyki uważane za normalne na Zachodzie zostały narzucone innym narodom”. Postawił więc zwolenników postępu przed wyjątkowo podstępny dziś dylematem: lepiej narazić się na oskarżenia o rasizm, czy o homofobię? Franciszek uniknął pocisku niczym Neo w Matrixie. Zmienił temat, odwołał się do lewicowej wrażliwości: „Nikt się nie zgorszy, jeśli udzieli błogosławieństwa przedsiębiorcy, który być może wyżyje ludźmi, a to jest przecież najcięższy grzech. Jednak oni są zgorszeni, jeśli udzieli go homoseksualistom... To jest hipokryzja! Wszyscy musimy się szanować. Wszyscy!” – zamknął gębę krytykom w wywiadzie dla włoskiego magazynu „Credere”.

Do najsłynniejszych wypowiedzi Franciszka nt. homoseksualizmu należy ta z początku jego pontyfikatu. „Jeśli ktoś jest homoseksualistą i poszukuje Boga oraz ma dobrą wolę, to kim ja jestem, by go osądzać?” – mówił w samolocie w czasie powrotu ze Światowych Dni Młodzieży w Brazylii w 2013 r. Słów i gestów było więcej. W watykańskiej Dykasterii ds. Komunikacji pracuje amerykański jezuita (znowu ci jezuito!) James Martin od lat działający na rzecz społeczności LGBT i walczący o jej miejsce w Kościele kat. Franciszek kilkakrotnie wyrażał poparcie dla jego pracy na rzecz mniejszości seksualnych. Martin zaś szokował konserwatywną część wierznych stwierdzeniami, że wielu świętych było LGBT, a sam Franciszek mianował wielu hierarchów sprzyjających tej społeczności i ma wielu przyjaciół wśród jej członków. Papież nigdy nie dementował.

Lorenzo bez koloratki

Po wypłynięciu wypowiedzi o „pedalstwie” i przeprosinach, burza tak łatwo nie ucichła. Biegły w zabiegach marketingowych Watykan, za pośrednictwem gościnnych łamów włoskiego dziennika „Il Messaggero”, opisał historię byłego kleryka-geja, który napisał maila do Franciszka. 22-letni Lorenzo Michele Noè Caruso poskarżył się głowie Kościoła, że wyrzucono go z seminarium po tym, jak przyznał przełożonym, że jest homoseksualistą. Przejęty do głębi papież odpowiedział młodemu mężczyźnie odręcznie napisanym listem. „Bardzo dziękuję ci za tego e-maila.

Uderzyły mnie słowa, których użyłeś: toksyczny i ekskluzywny klerykalizm. To prawda! Czy wiesz, że klerykalizm jest plagą?

Jezus wzywa wszystkich, wszystkich. Niektórzy ludzie myślą, że Kościół jest jak urząd celny. To bardzo źle. Kościół musi być otwarty na wszystkich. Bracie, idź naprzód ze swoim powołaniem” – napisał na pięknym papieskim papierze.

Ach, ten jezuityzm. Bo zachęcając, by młodzieńcy poszedł za swoim powołaniem, tak naprawę do czego zachęca Franciszek? Przecież Kościół wzywa gejów, by żyli w „czystości”? Mogą nawet sobie kochać, byle nie fizycznie. Na białe małżeństwo mogą nawet dostać błogosławieństwo księdza. Skoro przełożeni uznali, że Lorenzo nie ma powołania kapłańskiego, to nie ma. Niech nie drażni. Niech zostanie w Kościele i modli się o lepsze czasy. Został wezwany przez Pana do życia w celibacie, ale nie w w koloratce. I wilk syty, i owca cała (choć ostrzyżona). Tak się walczy z „pedalstwem” w białych rękawiczkach. I białej sutannie.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Wieprzowina po muzułmańsku

Świnie w obronie polskich granic

Na okoliczność śmierci polskiego żołnierza na granicy z kartoflanym imperatorem nie tylko zaostriżyła się wojna polsko-polska między entuzjastami wpuszczania śniadoliczych przybyszów do kraju nad Wisłą, a przeciwnikami ciapatego elementu. W obronę polskiej ziemi przed muzułmańskim najeźdźcą postanowili włączyć się też bambrzy z Oddolnego Ogólnopolskiego Protestu Rolników.

Paradoksalnie pomysł rolników, choć dosłownie gówniany i z dupy, trudno nazwać banalnym. „Tylko Straż Graniczna i rolnicy oraz mieszkańcy przygranicznych miejscowości wiedzą, jak silna jest nasza współpraca i jak ogromnym jesteśmy dla siebie wsparciem. Niestety nasi, bo tak traktujemy funkcjonariuszy Straży Granicznej, są coraz mocniej atakowani. Nie będziemy dłużej czekać aż ktoś zrobi z tym porządek. Sami włączamy się w obronę naszych granic. Systematycznie będziemy polewać świńską gnojowicą tereny pasów przygranicz-

nych. Wykorzystując nasz sprzęt zawsze będziemy wspierać naszych funkcjonariuszy, którzy ryzykują życie dla naszego bezpieczeństwa” – nakreślił plan fekalnej ofensywy w materiale filmowym Hubert Ojdana z OOPR, a mnie się mimowolnie cieplej zrobiło na sercu, że jednak zwierzęta są mądrzejsze od ludzi. Bo może i tuczniki srałyby ku chwale ojczyzny, ale pomysł jest tak durny, że świnia by się uśmieła.

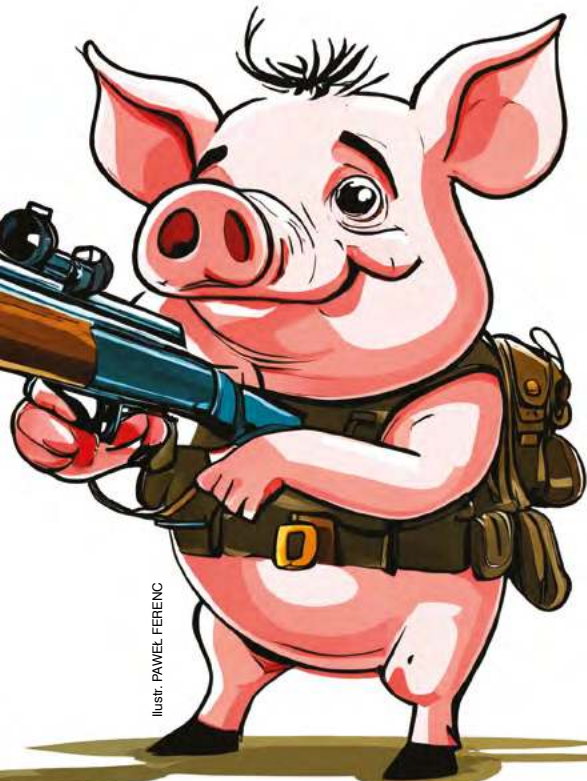
Dała nam przykład Ameryka

Żeby oddać sprawiedliwość, Ojdana i jego towarzysze spod cepa nie dźwierz pałeczki (czy też pały) pierwszeństwa w konkursie na zdebilale metody walki z muzułmańskimi przybyszami. W 2013 r. mała amerykańska firma South Fork Industries postanowiła wyprodukować specjalne naboje zawierające wieprzowinę. Na pomysł wpadła grupa idiotów, tzn. patriotów z Idaho, w odpowiedzi na plany budowy centrum islamskiego nieopodal miejsca, gdzie stały wieże World Trade Center. Właściciele firmy zapewniali, że pierdolnięcie takim pociskiem nie tylko zabije, ale i pośle wprost do piekła islamskiego radykała. Technologia mająca przerobić muzułmanów na mielonkę pozbawioną szans na niebo i stado dziewcz, polegała na

pokryciu zwykłych naboїв warstwą farby zawierającej odpadki pochodzenia wieprzowego, czyli mieszanke krwi, kości i mięsa. Amerykanie wciążeli jak dupa tuszcz fantasmagorie, że wyznawcy Allaha po kon-takcie ze świniną będą mieli przejebane na wieczność.

Z podobnego założenia wyszły władze Chin, które w masowych obozach reedukacyjnych od lat przetrzymują Ujgurów i inne mniejszości muzułmańskie. Chińczycy, chcąc wymóc na więzionych wyznawcach islamu zmianę przekonań religijnych, oprócz tortur fizycznych, psychicznych i zmuszania do wyrażania wdzięczności Partii Komunistycznej, poili osadzonych alkoholem i faszzerowali świniną.

10 lat temu Polska Liga Obrony – stowarzyszenie zrzeszające obywateli RP walczących z islamem – znalazła swój sposób na powstrzymanie budowy islamskiego kalifatu w Polsce. Prezes PLO Dariusz Mazurek chwalił się wówczas w mediach „Akcją boczek”, w ramach której plasty tego przysmaku miały być wysyłane w koper-



Od ponad pół wieku czerwiec obchodzony jest jako Miesiąc Dumy LGBT. Wszystko zaczęło się w czerwcu 1969 r., kiedy to w Nowym Jorku wybuchł protest środowiska skupionego wokół gejowskiego pubu Stonewall Inn, po jednym z nalołów policji na to miejsce. Wydarzenia te uważane są za początek ruchu na rzecz praw osób LGBT.

To właśnie w czerwcu na całym świecie przez miasta przechodzą parady i marsze równości. Obok – ma się rozumieć – wielu innych wydarzeń o charakterze edukacyjnym i artystycznym.

Od dwóch dekad z okładem podobnie działo się w Polsce. Z każdym rokiem było coraz lepiej, aż nagle to, co tak dobrze żarło, zdechło.

Główny hamulcowy

Po latach rządów PiS-u wydawało się, że zmiana władzy zmieni wszystko na lepsze. Na to przynajmniej ta społeczność liczyła, a apetyty były naprawdę spore: ustawa o równości małżeńskiej, ustawa o uzgodnieniu płci i wpisanie do Kodeksu karnego tożsamości płciowej i orientacji seksualnej jako przesłanek mowy nienawiści oraz zbrodni z nienawiści. Sam Donald Tusk zawarł te postulaty w stu konkretach na pierwsze sto dni rządzenia. Że to nie ma szansy się udać, pisaliśmy tuż po październikowych wyborach („Tęcza z czarnej dupie”, „NIE”, nr 43/2023). Przewidując wówczas najgorsze scenariusze, zakończyłam tamten tekst stwierdzeniem, że bardzo chciałabym się mylić. Wygląda jednak na to, że się nie myliłam.

Tak jak przewidywałam, realizacja postulatów LGBT przez koalicję rządzącą napotyka na obstrukcję przede wszystkim ze strony PSL. Do roli głównego hamulcowego urasta psel ludowców, wicepremier i minister od wojowania Władysław Kosiniak-Kamysz. Raz po raz ogłasza, że postulat równości małżeńskiej jest nie do zrealizowania. A to że wbrew tradycji, a to że Polacy niegotowi, a to że wyrąb lasu, a to że przemarsz wojsk. Ze związki partnerskie to jeszcze, ale małżeństwa jednopłciowe to już nie. Nie zgadza się także na przysposobienie dzieci przez pary jednopłciowe.

Wydaje się jednak, że za tymi wszystkimi „nie da się” stoi tak naprawdę jedynie bigoteria pierwszego chłopca III RP i jego politycznych kumpli.

Niedobry czas

Postawa ta dziwi o tyle, że Kosiniak-Kamysz jest lekarzem. Powinien więc sprawy związane z równouprawnieniem osób płciowo i seksualnie nienormatywnych rozumieć lepiej niż ktokolwiek inny wśród koalicyjnej wierzuszki. To przecież w wyniku dawnych przekonań lekarzy o tym, że nieheteroseksualność i nienormatywna tożsamość płciowa są medyczną patologią, zjawiska takie jak homoseksualność i transpłciowość znalazły się w klasyfikacji chorób i zaburzeń ICD Światowej Organizacji Zdrowia. Trzeba było potem wielu lat pracy tysięcy aktywistów, żeby doprowadzić do wykreślenia ich z klasyfikacji i uznania przez świat medyczny czterech głównych i równouprawnionych orientacji romantyczno-seksualnych: hetero-, homo-, bi- i asekualności, a także tożsamości płciowych niezgodnych z płcią metrykalną i odbiegających od klasycznego podziału na kobiecość i męskość. No a jeżeli już się wydukało „a”, to nie wypada nie powiedzieć „b”. Czyli trzeba przyznać wszystkim te same prawa cywilne, jakie mają osoby heteroseksualne i cispłciowe (cispłciowy jest odwrotnością transpłciowego).

Jak ujawnił w TOK FM Robert Biedroń, ostatnio dr Kosiniak-Kamysz doprowadził do wyłączenia z obrad rządu tematu mowy niena-

tach bąbelkowych na adres Centrum Kultury Islamskiej w Warszawie.

Dwa lata temu sieć obiegł filmik, na którym ukraiński żołdak smaruje smalcem wieprzowym pociski przeznaczone w geście krzywej przyjaźni dla Czechenów nakurwiających w Ukrainie. Ponoć Amerykanie wykorzystywali ten trick w Afganistanie.

Koran i Stary Testament

Najwyraźniej przez lata nastąpiła ewolucyjna i ponadnarodowa zamiana ludzkich łbów na świńskie chuj, bo jak inaczej wytłumaczyć taką ignorancję?

Mięso wieprzowe rzeczywiście jest zakazane w Koranie. To jeden z zakazów mających uchronić muzułmanów, podobnie jak zakaz chłania i palenia papierosów. Allah z miłości do ludzi chciał ich chronić przed chorobami. Święta księga islamu nie przewiduje żadnych kar za wejście w styczność z chrupkającym elementem zwierzęcym, a tym bardziej grillowania w ogniach piekielnych smakoszy świńskiego ciela. Także i w Biblii wieprzowina nie jest specjalnie zalecana: „Wieprz, który ma racie rozdzieloną, lecz nie przeżuwa, jest nieczysty, mięsa jego jeść nie będziecie i padliny jego nie dotkniecie” (Księga Powtórzonego Prawa 14:8). Ciekawe, czy kaszanka zawróciłaby w niejednej dupie, gdyby bogoojczyźniany obrońcy polskich granic o tym wiedzieli...

IDALIA DUBICKA

Skąd w Warszawie trzy parady równości

Samobój w barwach tęczy

wiści. Rzekomo dlatego, że było to przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, a kampania to niedobry czas na rozważanie takich spraw. Biedroń z pewnym rozgoryczeniem zauważył, że zawsze jest przed jakimiś wyborami. Jednak postawa PSL nie dziwi, bo to partia tchórzy i karierowiczów, którzy zrobią wszystko, by nie narażać się wyborcom i nie stracić koryta. Podobnie PSL zachował się w 2015 r., kiedy tuż przed wyborami parlamentarnymi trzeba było odrzucić weto Andrzeja Dudy do



Rys. MARCIN CHUDZIK

ustawy o uzgodnieniu płci. Większość sejmowa w zasadzie była, ale – jak mówiono wówczas w sejmowych kuluarach – PSL umył ręce, by na poparciu dla tak „kontrowersyjnej” ustawy nie stracić głosów wyborców.

„Przykro patrzeć, jak PSL do woli przestawia kolegów i koleżanki z rządu wyłącznie ze względu na swoje uprzedzenia i tchórzostwo” – komentuje postawę prezesa ludowców Stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza na swoim instagramowym profilu.

Błędy na górze

Gdyby nawet nie było Kosiniaka-Kamysza, to i tak marna pociecha. Bo do tej pory nikt z rządu nie przedstawił żadnych propozycji. Poza mglistymi zapowiedziami lewicowej pani minister od równości Katarzyny Kotuli, że projekt ustawy o związkach partnerskich będzie projektem rządowym, ale będzie konsultowany. Do tej pory jednak panuje cisza zarówno w sprawie tych rządowych propozycji, jak i udziału środowisk LGBT w ich tworzeniu. Co budzi zrozumiałe wkurw sporej części społeczności. Lewica, która z natury rzeczy powinna być motorem tych zmian, wydaje się spać snem głębokim. Nic nie słysząc, by choć próbowała neutralizować homofobiczne zapędy PSL-u, nie mówiąc już o podjęciu jakichś większych akcji uświadamiająco-edukacyjnych wśród polityków koalicji – wszak uzyskanie w niej większości dla poparcia postulatów LGBT wcale nie jest sprawą przesadzoną.

Nic nie słysząc o pracach nad którąkolwiek z ustaw. Nikt też z koalicji nie zaprasza organizacji LGBT do ich współtworzenia. O ustawie o uzgodnieniu płci też zrobiło się jakiś tak cicho jak w kościele po śmierci organisty.

Co prawda 9 kwietnia minister Kotula informowała w radiu RMF FM, że rządowy projekt ustawy o związkach partnerskich jest już gotowy (co potwierdzał wówczas także premier Tusk), ale do tej pory nikt go na oczy nie ujrział. Słusznie zżymał się wówczas aktywista Bart Staszewski na platformie X: „Mamy prawo czuć się oszukani przez rząd. Na spotkaniu z ministrami Katarzyną Kotulą wmawiano organizacjom, że projekt związków partnerskich wypracujemy wspólnie (...). Teraz premier mówi, że jest gotowy. O jakich wspólnych pracach mówimy? W co wy pogrywacie z trzecim sektorem?”. Zresztą same organizacje, które za rządów PiS kipiły aktywnością, obecnie wydają się nieco przy-

sypać. A jedyne, co ich zajmuje, to utyskiwanie w mediach społecznościowych na obecną koalicję rządzącą oraz wojny wewnętrzne.

Błędy na dole

Tak, bo o ile środowiska LGBT potrafiły zachować względną jedność i mówić wspólnym głosem za rządów wrogiej im Zjednoczonej Prawicy, o tyle teraz zaczynają wzajemnie ze sobą walczyć.

Jednocząca rola, jaką dla polskiego ruchu LGBT odgrywał PiS i jego polityczno-światopoglądowi kumple, wraz z wyborami 15 października przysła jak mydlana bańka.

Na początku tego roku wybuchł skandal w związku z odwołaniem dotychczasowego zarządu Fundacji Wolontariat Równości, organizatora dorocznych warszawskich Parad Równości – głównego wydarzenia polskiego Miesiąca Dumy. Decyzją fundatorów Szymona Niemca i Pawła Kiepuszewskiego, prezesa Wolontariatu Równości Julia Maciocha wraz z całym zarządem została odwołana, a na jej miejsce powołano bankowego urzędnika Rafała Dembego.

Paweł Kiepuszewski to postać raczej mało znana, ale Szymon Niemiec jest w społeczności LGBT osobistością – można rzec – prominentną. To człowiek, który w latach 90. należał do pionierów polskiego ruchu LGBT. Był inicjatorem i pierwszym organizatorem czegoś, co później przerodziło się w Paradę Równości. I to na niego głównie posypały się głosy krytyki części środowiska. Że dokonał wrogiego przejęcia, że chce zaprzędać paradę banksterom i korporacjom, że dba tylko o swoje, że chodzi mu jedynie o to, by świat uznał w końcu jego zasługi itp. Co prawda nie bardzo rozumiemy, jak fundator może dokonać wrogiego przejęcia swojej własnej fundacji, ale... co my tam wiemy?

Julia Maciocha, osoba również zasłużona, odchodząc z Wolontariatu Równości, wyprowadziła

stamtąd wszystkich wolontariuszy. I nie tylko, bo w kwietniu wyszło na jaw, że także kasę. Dużo kasy. Mówi się o sumie rzędu 100 tys. zł. To gruby zarzut i może skończyć się niefajnie.

– Zgłosiliśmy to do prokuratury. Jest postępowanie w tej sprawie – powiedział nam Szymon Niemiec.

Co się stało z tymi pieniędzmi? Ano trafiły na konta trzech organizacji, z którymi Maciocha jest powiązana formalnie lub towarzysko. Najwięcej kaski (40 tys. zł) załapała lubelska Fundacja Barta Staszewskiego (jednocześnie zagorzałego krytyka Niemca), w której organie nadzoru zasiada Maciocha. Mniejsze kwoty (po 29 700 zł) trafiły do poznańskiej Fundacji Republika Różnorodności (w której zarządzie jest Piotr Moszczeński – Julia Maciocha zasiada razem z nim w sekretariacie Koalicji Miast Maszerujących) oraz do szczecińskiej Lambdy Polska.

Widoczni i niewidoczni

Wokół tej ostatniej organizacji, reprezentowanej przez Monikę Tichy, też zrobiło się głośno przy okazji Ogólnopolskiego Dnia Widoczności Osób Transpłciowych, które przeprowadziła już po raz drugi na początku kwietnia w Poznaniu. W tym przypadku środowisko także się podzieliło, a największa polska organizacja na rzecz osób transpłciowych Fundacja Trans-Fuzja wręcz odmówiła udziału w tym przedsięwzięciu. Jak dowiedzieliśmy się od zaprzyjaźnionych myszy mieszkujących w transfuzyjnym lokalu, powodem był brak zaufania do osób organizujących poznański Dzień Widoczności.

Na Monikę Tichy wylały się w branżowych społecznościówkach zarzuty o manipulowanie ludźmi i uzależnianie od siebie o wiele młodszych osób transpłciowych (z akcentami romantyczno-seksualnymi w tle). Nie ośmielamy się przesądzać o sensowności lub nie tych zarzutów, ale biorąc pod uwagę, że Lambda Polska była jedną z beneficjentek ogłoszenia przez Maciochę konta Wolontariatu Równości, to być może zarząd Trans-Fu-

zji postąpił słusznie, odmawiając udziału w tym przedsięwzięciu. Problem jednak w tym, że sama fundacja nic nie robi w kierunku odpowiedniego wyeksponowania Dnia Widoczności Osób Transpłciowych (31 marca). Pozostaje kompletnie niewidoczna. Zaś oddanie pola Lambdzie Polska, która jest co prawda organizacją ogólną LGBT, ale nie konkretnie na rzecz osób trans, jest też przez część środowiska źle lub wręcz wrogo przyjmowane.

Cudowne rozmnożenie

Żeby dopełnić całości obrazu degenerady, jaka obecnie panuje w ruchu LGBT, należy wspomnieć, że w wyniku posunięcia fundatorów Wolontariatu Równości oraz działań odwołanej prezeski, na tegoroczny czerwiec zapowiedziano dwie konkurencyjne parady równości w Warszawie. Mediacja pomiędzy zwaśnionymi stronami podjęta przez Stowarzyszenie Lambda Warszawa nic nie dała. Pierwsza parada, ta organizowana przez fundację Szymona Niemca, przejdzie przez Warszawę już w najbliższy weekend – 15 czerwca. Druga, ta organizowana przez Julię Maciochę i zbuntowanych przez nią wolontariuszy, zaszczyli stolicę w kolejny – 22 czerwca.

Ten podział tak wkurwił część społeczności, w tym kilkoro znanych aktywistów, że postanowili oni zorganizować trzecią paradę. Wyprzedzili pozostałych i przemaszzerowali jako pierwsi przez warszawską Pragę już w miniony weekend – 8 czerwca.

Kiedy więc Parada Równości ulega cudownemu rozmnożeniu na trzy, to robi się już i śmiesznie, i strasznie zarazem. Środowisko jest kompletnie podzielone. Poszczególne organizacje i aktywiści popierają a to jednych, a to drugich, a to trzecich... Albo nikogo i nie chcą uczestniczyć w tym bajzlu. Nie do końca też wiadomo, co będzie z marszami równości w pozostałych miastach, bo część z nich, zrzeszona w Koalicji Miast Maszerujących, już się zbuntowała w proteście przeciwko niejasnym okolicznościom przekazania pieniędzy organizacji Piotra Moszczeńskiego przez jego koleżankę z KMM.

Gdy tylko z horyzontu społeczności LGBT zniknęło wyraźne zagrożenie w postaci PiS, w bezpiecznych i sprzyjających – wydawałoby się – okolicznościach nagle zaczęły się środowiskowe wojenki prowadzące do poważnych pęknięć i rozłamów. Już na początku tego roku powiedziałam, że aby rozwalić polski ruch LGBT, nie trzeba ani PiS-u, ani innych dudów, jędraszewskich, ordoiuristów i różnych takich. Ten ruch rozwalił się sam.

I to jest jakby realne.

Wiecie, co? Cholernie chciałabym się mylić!

EDYTA BAKER

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ **Niestety, taka jest agenda ideologii lewicowo-liberalnej: żeby stworzyć nowego człowieka (...), który odrzuca całą swoją dotychczasową tradycję, cały dorobek pięknej cywilizacji, jaką jest cywilizacja Zachodu, cywilizacja chrześcijańska czy cywilizacja euroatlantycka** (różnie się ją opisuje) (...). To wszystko zostało zbudowane na wartościach chrześcijańskich i jest destruowane przez siły lewicowo-liberalne w imię jakiś utopii, budowania nowego człowieka, który się wyemancypuje ze wszystkich dotychczasowych wartości, ale tak naprawdę nie wiadomo, jak na samym końcu ten człowiek ma wyglądać. Utopie polegają na ogół na tym, że nie widać, co ma być na końcu tej drogi. Widać wytączęnie destrukcję po drodze.

Jarosław Sellin, Radio Maryja, 5 czerwca

■ Wygląda na to, że tak się nieszczęśliwie złożyło, że obecnie w wyniku ustaleń koalicyjnych, **do władzy w oświacie doszła grupa polityczek z różnych ugrupowań, które są skrajnie antykatolickie i antyklerykalne. Jak przeanalizowałem ich ślubowania poselskie, to nie dodały zwyczajowych słów „tak mi dopomóż Bóg”, co do tej pory było zagwarantowane w Polsce jedynie dla skrajnej Lewicy. Dlatego rzutują one swoje poglądy, które w Polsce wyznaje może kilka procent wyborców, na cały system oświatowy.** (...) Do tego panie „ministra” uwierzyły, że walka z religią w szkole to jest to, czego ich cały elektorat oczekuje, ale ufam, że się pomyliła. Bo walka z religią w szkole i krzyżem już w wypadku antyklerykalnej partii Palikota pokazała, że to w Polsce przynosi efekt odwrotny od zamierzonego.

Dariusz Kwiecień, Stowarzyszenie Katechetów Świeickich, PCh24.pl, 6 czerwca

■ Widzimy **nieuprawnione atakowanie o. Tadeusza Rydzika** CŚSR za pomocą kłamstwa i „kamienowania” słowem, w tym pozbawianie kapłana konstytucyjnych uprawnień. **To stygmatyzowanie kapłana, do którego przysłęja się takie etykiety, jak biznesmen, imperium, czyli dyskredytowanie go.** Z drugiej strony każdy z nas (słuchacze Radia Maryja, Rodzina Radia Maryja) docenia to dobro, jakie dzięki temu kapłanowi otrzymał. Widać to wyraźnie, jak służy on Polsce i Kościołowi. Potrafił przed wielu laty skutecznie zjednoczyć różnymi inicjatywami naród. **Te inicjatywy realizowane są dla Polski, dla nas współcześnie żyjących, ale także dla przyszłych pokoleń.**

prof. inż. Janusz Kawecki, Radio Maryja, 3 czerwca

■ Kiedy **mamy nową ideologię pseudokomunistyczną na Zachodzie**, to próbuje się najpierw ateizować przestrzeń publiczną, co robi prezydent Rafał Trzaskowski, a potem iść w kierunku już realnej walki z Kościołem. Nie będzie już chodziło tylko i wyłącznie o to, żeby zmarginalizować religię w szkołach, albo wywyżczyć urzędy z symboli religijnych, ale **co chwilę pojawiają się głosy liberalnych publicystów, jak to niszczone jest psychika dzieci pierwszokomunistycznych, które muszą iść do pierwszej spowiedzi.** (...) **Tamą dla nich nie jest edukacja seksualna, to, co oglądają w internecie, ale pierwsza spowiedź. Pojawiła się również propozycja ograniczenia egzorcystów, którzy mają być rzekomo traumą dla ludzi, którzy są uwalniani od złego ducha.**

prof. Mieczysław Ryba, TV Trwam, 2 czerwca

■ Wiemy, że wszędzie tam, **gdzie nie ma Boga, tam ginie człowiek, tam człowiek nie ma przyszłości.**

abp Marek Jędraszewski, X, 4 czerwca

■ **W imię wyższości woli Boga, trzeba nam rozpocząć nową batalię zmagani kulturowych, aby zdemaskować niebezpieczeństwa pogańskich i ateistycznych zamierzeń sprzeciwiających się Ewangelii życia, a tym samym koncepcji człowieka od poczęcia aż do naturalnej śmierci, a ponadto godności, tak, godności kobiety i mężczyzny, sakramentu małżeństwa i wspólnoty rodzinnej (...).** Trzeba nam rozpocząć nowe zmagania kulturowe, aby **zdemaskować niebezpieczeństwa, jak określił św. Jan Paweł II, petzające apotazji, która jest ateizmem sprzeciwiającym się Chrystusowej Ewangelii.**

abp Wacław Depo, homilia, Częstochowa, 6 czerwca

KLECHA

„Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało” – tym cytatem, z uchodzącego w pewnych kręgach za klasyka Jezusa, kościelni publicyści ilustrują publikacje na temat tzw. powołań kapłańskich. Idzie im o to, że duszyczek do zaopiekowania się mnogo, a duszpasterzy niewiele i trzeba się modlić, żeby było ich więcej. W dzisiejszej Polsce słowa te mocno straciły na aktualności, bo robotników, owszem, mało, ale i żniwo skromne. Polacy nie garną się do świątyn, więc personel jest zbędny. Nie ma się komu modlić, za kogo i po co.

Gatunek ginący

Atakują nas sezonowe newsy, że kapłańskich noworodków w Polsce mamy w kraju z roku na rok coraz mniej. Ogółem w Polsce w 2024 r. przybędzie 235 księży: 153 diecezjalnych (zwanych w slangu „czarnymi”) i 82 zakonnych. Nie jest to pomijalnym marginesem w porównaniu z taką np. Francją, gdzie co roku święci się poniżej setki księży, a kraj jest prawie dwa razy ludniejszy. Tendencja jest wszakże spadkowa i do seminariów zgłasza się coraz mniej chętnych. Do niektórych puka okragle zero. Ci święceni w tym roku studia zaczęli sześć lat temu. Za sześć lat ponad dwie setki nowych koloratek na ulicach będą rzewnym wspomnieniem.

W tym roku żadnego księdza nie przybędzie w archidiecezjach warmińskiej i szczecińsko-kamińskiej. Ta ostatnia do niedawna była rządzona przez abepe Andrzeja Dziegę, słynnego obrońcę pedofila ks. Dymera. W Poznaniu wyświęcą zaledwie jednego szamana, podobnie w Kielcach czy Zielonej Górze. Ale za to w Tarnowie 14, w Krakowie zaś abepe Jędraszewski zostawia w ostatnim roku urzędowania pechową trzynastkę, choć za najlepszych czasów święcono w Małopolsce po kilkudziesięciu naraz. Zwłaszcza diecezja tarnowska słynęła dawniej z licznej kadry. Kleru było tam takie zatrzęsienie, że trzeba było eksportować do tzw. krajów misyjnych, czyli do tych szczęśliwców, którzy nie zaznali dotychczas dobrodziejstw związanych z obecnością Kościoła kat. w okolicy.

Dziś sytuacja się odwraca: to księża z Afryki łatają dziury w personelu w Polsce. W tym roku wyświęcono w Opolu jednego kleryka z Togo – i stanowią on jedną trzecią narybku. Umowę z Togo na sprowadzanie kleryków do Polski podpisał też bepe Jerzy Mazur z tym zastrzeżeniem, że po wyświęceniu muszą oni przepracować 10 lat w Polsce.

Afera księdzowa?

Czy tak pilni w tropieniu afer imigranckich politycy nie wężą tu żadnego zagrożenia w typie afery wizowej? Czy ktoś weryfikuje kandydatów na księży z innych kontynentów, czy wystarczy zaświadczenie od proboszcza? Nie jest wiedzą tajemną, że dla wielu afrykańskich młodych mężczyzn seminarium jest łatwą trampoliną do krajów europejskich, gdzie swoje kapłańskie kariery nierzadko porzucają na rzecz lukratywniejszych posad niewiążących się z celibatem. Rąk do pracy, podobnie jak w innych branżach, dostarcza też

Polacy nie chcą pracować na czarno.

Niepowołane ręce

Ukraina. Ukraińcy są łatwiejsi wizualnie do strawienia dla moherów, a jak wyglądają akcent, to już w ogóle nie ma żadnych zastrzeżeń.

Tak niechętna multikulti instytucja musi się ratować pracownikami z zagranicy, co jest niewątpliwym upokorzeniem i zaprzeczeniem głoszonych nauk. Ale hipokryzja to specjalność kleru, więc ostatni raz byliśmy tak zdziwieni, gdy po poniedziałku nastał wtorek. Wytłumaczenie dla owieczek zawsze się znajdzie: przecież Kościół jest powszechny, prawda, Pan Jezus przyszedł do wszystkich narodów, prawda, i w ogóle nasza polityka migracyjna jest lepsza niż wasza, bo my sprowadzamy imigrantów w obronie wartości, a wy, lewaki, żeby je zniszczyć, prawda.

Biskupi dostrzegają, że niektórzy zaczynają traktować kapłaństwo jako pracę sezonową. Nie tylko ci napływowi. Przestrzegali przed taką postawą kard. Grzegorz Ryś z Łodzi w kazaniu wygłoszonym do czterech diakonów, czyli tych, którzy za chwilę mają zostać księżmi. „Wybieracie kapłaństwo na całe życie, a nie na pięć lat z kontraktem!” – gromił ich na początku kapłańskiej drogi. „Potrzebujemy duchowości księdza diecezjalnego” – zauważył z kolei kard. Kazimierz Nycz po powrocie z Rzymu. To zupełnie nowa jakość. Do tej pory do perfekcji doprowadzano raczej materialność księdza. A ta wygląda coraz gorzej, stąd pewnie coraz mniej robotników na żniwach. To się zwyczajnie nie opłaca.

Łacina – symbol nowoczesności

Przyszłość księdza może wyglądać tak jak w eksperymentalnej parafii na poznańskiej Łacinie. Wbrew tradycjonalistycznej nazwie dzielnicy, parafia jest póki co awangardą nowoczesności na polskiej mapie kościelnej. Działa bowiem w bloku mieszkalnym. Łacina to dzielnica nowych bloków zamieszkałych przez zamożnych młodych ludzi, w większości napływowych, którzy przyjechali do stolicy Wielkopolski robić karierę.

Abepe Gądecki nie mógł pozbawić tych 20 tys. dorobkiewiczów „opieki duszpasterskiej”. Posłał więc tam młodego i rzutkiego księdza, który ma te owieczki podprowadzić bliżej kurii. Sęk w tym, że nie było ziemi pod kościół i plebanię ani specjalnego entuzjazmu, by nową świątynię wzno-

sić. Młody proboszcz wynajął więc lokal między psim fryzjerem a dentystą i urządził tam kaplicę. W ten sposób msza stała się jedną z usług na deweloperskim osiedlu. Nie ma napierdalania w dzwony co godzina, a krzykliwą obecność w przestrzeni zastępuje dyskretne logo. Ksiądz musi pilnować się, by zbyt ostentacyjnie nie być księdzem i unikać eksponowania swojej wyznaniowej przynależności, żeby nie drażnić mieszkańców.

Nie istnieje tam kancelaria parafialna, wszystkie sprawy załatwia się online. Ogłoszenia parafialne pojawiają się na Instagramie i Facebooku. Zamiast banknotów i monet preferuje się płatność bezgotówkową – przy wejściu ustawiony jest terminal. Proboszcz reklamuje swoje usługi m.in. ogłaszając, że można u niego wziąć ślub, mimo że się mieszka ze sobą przed ślubem albo nie ma bierzmowania. Po mszy zaprasza na kawę i ciasteczka.

Mamusię trzymają się z dala

Mieszkańcy osiedla nie pałają do Kościoła kat. miłością. Ot, normalni, w większości młodzi ludzie, dla których nabożeństwo to równie atrakcyjna wizja spędzania wolnego czasu, co kopanie rowów. Nawet ci, którzy przychodzą na msze, mają ograniczone zaufanie do kleru. Proboszcz zauważa, że przychodzą głównie mężczyźni. Kobiety – mówi – uznają Kościół za organizację złą, która pozbawia ich praw. Kto by pomyślał! Stąd jedna ściana w kaplicy jest ze szkła. Podczas gdy tatusiowie prowadzą latorośle do sakramentów, mamusię mogą je obserwować bez przekraczania progu świątyni.

Mają pewność, że nie dzieją się tam sceny znane z filmów Smarzowskiego czy Sekielskich.

Generalnie prawie wszystko odbiega na Łacinie od dotychczasowego funkcjonowania parafii w Polsce – poza chęcią utrzymania przy sobie ludzi. Ewolucja Kościoła kat. w „bliski ludzizm” odbywa się więc na naszych oczach i część ludzi się pewnie na to złapie. Nie jest to jednak zbyt atrakcyjna wizja dla tych, którzy chcieliby zostać księdzem dla przepychu i splendoru.

Cytując Kaczyńskiego: „te zwyczaje się skończyły” – a na pewno kończą. Do wielu przedstawicieli duchowieństwa to jednak nie dociera albo ignorują oczywiste i czytelne znaki, byleby dożyć końca swoich dni w ulubionej strefie komfortu.

Można się spodziewać, że kawalerka zamiast luksusowej plebanii i kaplicy obok salonu depilacji laserowej zamiast barokowej świątyni nie zwabią zbyt wielu „powołanych”. Dobra wiadomość dla chętnych jest taka, że łatwiej teraz będzie zrobić karierę, bo konkurencja jest mniejsza. Być może niebawem będą wyświęcać od razu na biskupa. Tylko że zamiast katedry trafi się najwyżej wynajęta sala gimnastyczna, bo w katedrze będzie sala koncertowa.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

lupiotrowicz@gmail.com

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Kolejny proces kanoniczny czeka księdza Daniela Galusa, założyciela i duchowego przewodnika oficjalnie nieuznawanej przez Kościół za katolicką Wspólnoty Miłości i Miłosierdzia Jezusa z Pustelni w Czatachowie na Jurze. Na kontrowersyjnego klechę dwa lata temu nałożono karę suspensy, czyli zakazu wypełniania funkcji kapłańskich, m.in. za nieposłuszeństwo oraz fałszywe oskarżenia wobec przełożonych. Z racji tego, że kara nie osiągnęła zamierzonego skutku, na mocy decyzji abepe Wacława Depo zostało wszczęte kolejne postępowanie. Tym razem rozbisurmanionemu Galusowi grozi wykluczenie ze stanu duchownego. Proces prowadzą trzej profesorowie prawa spoza archidiecezji częstochowskiej, a ostateczną decyzję po przeprowadzeniu postępowania podejmie Stolica Apostolska. Do działań częstochowskiej kurii niepokorny kapłan odniósł się w internetowym oświadczeniu. Na nagraniu mówił o prześladowaniu przez metropolicę częstochowskiego, oskarżył go o opętanie i sprzyjanie mafii gejowsko-pedofilskiej. Ks. Galus twierdzi również, że abepe Depo obiecał rok temu swojemu przyjacielowi homoseksualności księdzu Jerzemu M. z Londynu, który miał tam parafię, że „załatwi Daniela”. Niepokorny

duchowny zapowiedział, że nawet gdy zostanie usunięty ze stanu duchownego, będzie kontynuował swoją działalność, bo „kapłaństwo jest dane na zawsze i nikt mu go nie odbierze”, a swoje „cierpienie ofiaruje panu Bogu za Kościół i dusze ludzkie”.

✦ Przedstawiciele prawicowego establishmentu postanowili murem stanąć za oskarżonym o ukrywanie przypadków przestępstw wykorzystywania seksualnego abpe Tadeuszem Wojdą. „Działania mają na celu obezwładnienie Kościoła przez wywołanie nieufności, zamętu i oddzielenie Kościoła od Narodu” – piszą sygnatariusze w liście otwartym. Przypomnijmy, że w maju na łamach magazynu „Więź” pojawił się artykuł „Czy Ksiądz Biskup mógłby w końcu usłyszeć mój głos? Pytania do abp. Tadeusza Wojdy”. Jego autor, Zbigniew Nosowski, opisał historie osób, które padły ofiarami molestowania seksualnego ze strony jednego z duchownych. Nosowski kierował swój tekst do abepe Wojdy, który oszczał ciepłym moczem wyjaśnienie sprawy. W liście podpisanym m.in. przez: Marię Kurowską, byłego Marszałka Sejmu Marka Jurka, prof. Bogdana Chazana i prof. Jana Żaryna można przeczytać, że „członkowie Episkopatu zapewne dobrze to rozumieją, że wierni nie mogą postrzegać absurdałnego ataku na osobę Przewodniczącego KEP inaczej, niż jak na podstępą próbę podważenia tego wyboru”, oraz że „dzieje się to nieprzypadkowo w tym samym czasie, w którym trwa



nadużywanie procedur prawnych Państwa przeciw osobom, które występują publicznie w obronie moralności i prawa, a w tym w obronie prawa człowieka do życia od poczęcia do naturalnej śmierci”. Argumenty równie mocne jak autorytety za nimi stojące.

✦ Na Facebooku pojawiły się reklamy z udziałem kard. Kazimierza Nycza i kard. Stanisława Dziwisza. Skamieliny rodzimego Kościoła katolickiego opowiadają na nagraniach, jak wyleczyły osteochondrozę po 20 latach poszukiwania lekarstwa na tę chorobę. To deepfake, czyli wygenerowany przez sztuczną inteligencję obraz. Jak wyjaśnił w mediach rzecznik prasowy archidiecezji warszawskiej

ks. Przemysław Śliwiński, ani kard. Nycz, ani żaden inny kapłan nie wzięły udziału w promocji tego typu produktów. Niewątpliwie klechów reklamujących prochy na bóle stawów można tyknąć prędzej niż za pewnienia Kościoła o walce z nadużyciami seksualnymi wobec małoletnich.

✦ Prokuratura Krajowa poinformowała o nowym zarzucie dla ks. Michała O. w śledztwie dotyczącym Funduszu Sprawiedliwości. Były egzorcysta od wypędzania demonów weganizmu salcesonem usłyszał zarzut prania pieniędzy, czyli popełnienia przestępstwa z art. 299 Kodeksu karnego. Grozi mu za to od sześciu miesięcy do ośmiu lat pierdzenia w pasiak. Jeżeli dodatkowo okaże się, że działał przy tym w porozumieniu z innymi osobami i/lub osiągnął znaczną korzyść majątkową, kara będzie bardziej dotkliwa: od roku do dychy pierdla. Kierowana przez klechę Fundacja Profeto dokonywała śliskich obrotów dotacją z FS z pomocą firmy budowlanej Tiso, która stawiała dla niej ośrodek terapeutyczny w warszawskim Wilanowie. W efekcie tych kreatywnych aktywności co najmniej 3,6 mln zł miało zostać wytransferowanych z Funduszu Sprawiedliwości i trafić na konta Profeto jako czysty pieniądź, niepowiązany z budową ośrodka. Ks. O. nie przyznał się do winy i odmówił składania wyjaśnień. Przebywa w areszcie.

KLECHA

Wieści na użytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.



Poczet indolencji

W świecie firm kurierskich instytucja od stuleci zajmująca się rozwożeniem paczek sprzedaje lizaki.

W czasach PRL rodzice straszili leniwych uczniów, że jak się nie będą uczyli, to pójdą pracować na pocztę, gdzie będą lizać znaczki. Od tej pory w postrzeganiu etosu pracownika Poczty Polskiej niewiele się zmieniło. Kolejki jak były – tak są. Listy jak pełzały – tak pełzną.

W czasach kapitalizmu poczty najpierw zaczęły zniknąć. Przyspieszyło to za poprzednich rządów Tuska. O ile bowiem jeszcze w 2009 r. było ponad 8200 placówek Poczty Polskiej, to sześć lat później – ok. 7400.

Odurzędowienie

Trzeba jednak wiedzieć, że w okolicach roku 2010 poczta przynosiła ok. 200 mln zł strat rocznie – trzy razy tyle, co sasinowe wybory kopertowe. Tyle że zatrudniała wtedy blisko 126 tys. osób. Jedyne rozwiązanie wydawała się wówczas prosta wyprzedaż mienia. Tak się bowiem składało, że poczta odziedziczyła nieruchomości zarówno po państwach zaborczych, jak po II Rzeczypospolitej, oraz – rzecz jasna – po PRL. Miała tysiące budynków, które były jej własnością. Nieruchomości postanowiono uruchomić w roku 2010. Na sprzedaż miało pójść ponad 4100 urzędów i placówek.

Oczywiście zrobiło się wielkie halo. Rząd załatwił sprawę krótko – zmienił zarząd. Nowy kwestii wyzbywania się budynków nie nagłaśniał, tylko realizował ją krok po kroku. Kasa ze sprzedaży zasilała pocztowe konta i zaczął pojawiać się zysk. Dodatkowo malały koszty ludzkie: jak nie było gdzie zatrudniać pracowników, to się ich pozwalniało.

Dla listonoszy i pańienek z okienka zrobiło się tragicznie. Doręczyciele zarabiali śmieszne pieniądze, a tereny do obskoczenia urosły dwukrotnie. Po redukcjach personelu zamiast trzech okienek czynne były dwa, w związku z czym harówka zrobiła się okrutna, a wkurzeni kolejkami klienci bynajmniej nie działali na personel kjąco.

Zupełnie inaczej rzecz miała się dla pracowników centrali. Z ich punktu widzenia, Poczta Polska kwitła. W 2014 r. zarobiła 142 mln zł brutto; o 52 proc. więcej niż rok wcześniej. I był to piąty rok z rzędu, kiedy firma notowała zysk.

Dla ówczesnego zarządu to było jednak za mało. Nienauczony doświadczeniem z ogłaszaniem planów zapowiedział, że Poczta pozbędzie się kolejnych 5 tys. pracowników i kilkuset placówek.

Zaczął się dym. Protesty pocztowców wsparła opozycja. W końcu ktoś poszedł po rozum do głowy i zapowiedziane zmiany odszczekano. Oficjalnie. Bo naprawdę wciąż redukowano personel i placówki. A żeby nie było, że Poczta nie wypełnia tego, co każe jej ustawa, zmieniono ustawę.

Przez stulecia poczta była urzędem państwowym, a jej pracownicy – urzędnikami. Listonosze

i panie w okienku robiły więc za osoby zaufania publicznego.

Po zmianie ustawy stali się zwykłymi pracownikami najzwyczajszej firmy. Gońcami i kasjerkami. Takimi samymi dostarczycielami przesyłek jak niemiędzy po polsku kurierzy.

Od 2013 r. Poczta Polska SA pełni więc rolę „operatora wyznaczonego, zobowiązanego do świadczenia usług powszechnych zgodnie z art. 47 Prawo pocztowe. Minister właściwy do spraw łączności określa, w drodze rozporządzenia, warunki wykonywania usług powszechnych obejmujące m.in. sposób rozmieszczenia placówek pocztowych operatora wyznaczonego”. Poczta Polska została wówczas zobowiązana do posiadania jednej stałej placówki „na 6 tys. mieszkańców na terenie gmin miejskich i miejsko-wiejskich” lub „na 85 km² powierzchni na obszarach wiejskich”. Musiała też mieć co najmniej jedną placówkę w każdej gminie. Po przeliczeniu tego wszychnego wyszło, że Poczta ma mieć 6920 placówek – dokładnie tyle samo, ile miało być po zapowiedzianej redukcji.

Przy okazji Poczta Polska stała się poligonem minimalizacji kosztów pracowniczych: zamrożono zarobki, pozwalniano ludzi, którzy z racji wysługi lat musieliby zarabiać więcej niż nowo przyjeźci. Wywalono też na zbyty pysk lub zapropnowano – jak to się ujmuję w slangu korporacyjnym – samozatrudnienie wszystkim osobom sprzątającym. I to na dość interesujących warunkach. Codzienne, także w soboty, czekało ich sprzątanie schodów wejściowych, zalepcza i sali główne. I to w ciągu maksymalnie 1,5 godziny. W zamian za to zaproponowano 300 zł wynagrodzenia miesięcznie – dziś te pieniądze byłyby warte jakieś 600 zł. I wcale nie chodziło o placówkę spod Bartoszy, czy Siemiatycz, ale o jedną z poczt w stolicy. I oczywiście ktoś tę pocztę za takie pieniądze sprzątał.

Skansen z kolejkami

Na koniec rządów koalicji PO–PSL Poczta zatrudniała niecałe 80 tys. pracowników. Były to czasy, gdy listonosz nie zaśmiecał już skrzynek ulotkami, bo reklamowano się w sieci. Faktury też krążyły między firmami za pośrednictwem internetu. O telegramach zapomnieli nawet najstarsi górale, bo zastąpiły je SMS-y. Widokówki i kartki pocztowe odeszły do lamusa, bo foty i życzenia przesyła się komórkami. Nawet kwitów sądowych na pocztach się nie uświadczyło, bo te były dostępne dzięki InPostowi w warzywniakach i lombardach. Rachunki od gazowni czy dystrybutorów energii przychodziły – całkiem jak teraz – emailem. Z comiesięcznymi przelewami na pocztę fatygowali się tylko nieposiadający rodziny, wykluczeni cyfrowo staruszkowie. Reszcie popółstwa transfery pieniędzy załatwiały laptopy i smartfony.

Skoro więc poczta nie robiła tego, co robić powinna, to skąd miała zyski? Odpowiedź jest złożona z trzech elementów: usług finansowych, działalności kurierskiej i szeroko pojętej działalności handlowej.

W 2014 r. o 45 proc., do 51 mln zł, wzrosły przychody Poczty Polskiej z usług – uwaga! – bankowo-ubezpieczeniowych. Pod koniec 2014 r. Komisja Nadzoru

Finansowego przyznała Poczcie Polskiej licencję na prowadzenie własnego towarzystwa ubezpieczeń na życie, które w kwietniu 2015 r. wystawiło pierwsze polisy. Już po trzech miesiącach firma zanotowała 20 tys. deklaracji przystąpienia do grupowego ubezpieczenia na życie dla pracowników – pierwszego produktu uruchomionego przez Pocztove Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie.

Oczywiście, likwidując placówki, poczta wzorem InPostu zaczęła stawiać sieć paczkomatów. Ludzie bywali na poczcie przestali być zaskoczeni, gdy pani w okienku zawsze proponowała im zakup książki, zabawki, napoju czy czegośkolwiek innego. Poczty bowiem przekształciły się w wielobranżowe sklepi.

Najciekawiej na tle ówczesnej wyprzedaży majątku trwałego, wyzysku pracowników i wchodzenia w zupełnie nowe role biznesowe wyglądał wychwalany przez władze Poczty zysk. 6,3 mld zł przychodu w roku 2014 dało bowiem zysk, którego wysokość po zapłaceniu podatków wyniosła 77,4 mln zł. To tak jakby każda zatrudniona osoba zarobiła dla firmy przez rok niecałe 1000 zł.

Ani dobra, ani zmiana

Na to wszystko rzuciło się podówczas PiS. Wypominało wyzyskiwanie ludzi, likwidowanie na wsiach placówek pocztowych i doprowadzenie chluby każdego państwa – jakim zdaniem PiS były poczty – do ruiny. Tuż po przejściu władzy wszystko miało się zmienić. Pocztovcem miało być świetnie, a poczta miała na powrót być w każdej wiosce.

W 2019 r. Poczta chwaliła się na swoich stronach, że ma największą sieć dystrybucyjno-logistyczną w kraju, dzięki czemu jest obecna w każdej gminie i oferuje usługi w ponad 7,5 tys. placówek. Ba, od czasów przejścia jej przez PiS spółka otworzyła ponad 280 nowych punktów w całej Polsce, „również w małych miejscowościach, na wsiach, jak i w dużych aglomeracjach”. Bo „przywracanie zamykanych placówek jest priorytetem Poczty Polskiej”. Oprócz wyświeglania nowych sklepików z nazwą poczty, PiS zrobiło firmie dobrze, bo skończyło z tym, by korespondencją sądową zajmował się jakiś podmiot niepaństwowy. Wymagające potwierdzeń – a więc drogie – listy z wymiaru sprawiedliwości znów, wraz z milionami złotych, wróciły na pocztę.

Gdy w roku 2020 koronawirus przerzucił handel do internetu i firmy kurierskie zatoniły w zleceniach, Poczta Polska bawiła się z Sasinem w wybory kopertowe. Mając nieograniczone środki na inwestycje, nie zrobiono nic, żeby przygotować się do funkcjonowania w świecie bez listów i pocztówek.

Efekt był prosty do przewidzenia. W 2023 r. Poczta Polska odnotowała niemal 800 mln zł straty. To zaś pokazuje, że po PiS firma de facto jest bankrutem.

Jak to za Tuska

Wciąż jednak zatrudnia ok. 60 tys. osób. Z których 80 proc. dostaje pensję minimalną. Przesyłki są dostarczane do adresatów nieterminowo, bo nie ma odpowiedniej liczby listonoszy. Wściekli ludzie muszą biegać na pocztę po coś, co listonosz powinien im dostarczyć pod drzwi, ale z braku czasu ogranicza się do wrzucenia do skrzynki awiza.

Pocztowcy robią strajki i skarżą się na Facebooku: „Pracownikom są obcinane etaty, listonoszom jest dokładane coraz więcej pracy – a płaca taka sama. Okienka są zamykane, a co za tym idzie, w kolejkach będzie się stać po godzinie – ale nie martwmy się, ministerstwo stać na kącik dla dziecka, żeby mu się nie nudziło stanie z rodzicem w kolejce, a psom miski z wodą, ale dla pocztowców nie ma już pieniędzy”.

Jeśli ktoś sądzi, że protesty coś pocztowcom dadzą, to się myli. Od października skończy się w Polsce era papierowych listów poleconych. Teraz Poczta obsługuje rocznie ok. miliarda listów, gdy wejdzie w życie ustawa o e-doręczeniach, liczba ta, a wraz z nią przychody poczty, spadnie o 90 proc.

Bo od października, docelowo każdy – na początek dobrowolnie – ma mieć swoją internetową skrzynkę do komunikacji z urzędami. Na skrzynkę ma przychodzić cała korespondencja urzędowa: listy ze skarbowki, z ZUS, sądu czy informacji z urzędu gminy o przyjęciu dziecka do przedszkola.

Co na to nowa władza? To, co zwykły robić każdy rząd Donalda Tuska. Wygrzebuje z niebytu Sebastiana Mikosza i obsadza go na stanowisku prezesa. Tym razem Poczty. Mikosz udziela wywiadów i pokazuje się, gdzie może, nie mówiąc nic konkretnego, ale za to ładnie i okrągło, co wskazywać ma, że wie, co mówi i robi.

A mówi, że cięcia etatów są konieczne, bo to jeden z elementów zaplanowanej transformacji. Wcisną kit, że Poczta ma rozbudowaną biurokrację, więc firma musi zadbać „o tych pracowników, którzy są w bezpośrednim kontakcie z klientem. To jest ta zmiana, która będzie”.

Tym, którzy zapomnieli, kim jest Mikosz, wypada przypomnieć, że to gość, który stojąc na czele PLL LOT, wypowiadał zbiorowe układy pracy, zatrudniał na śmieciówkach, redukował etaty i likwidował kolejne połączenia lotnicze.

Jego byli podwładni współczują pocztowcom i radzą, aby zamiast strajkować, jak najszybciej zaczęli szukać nowej pracy.

Jeszcze ciekawsze jest to, co o przyszłości Poczty Polskiej pod Mikoszem mówią eksperci – anonimowo, bo nie są idiotami. A mówią, że jedyne, co zostanie z poczty już za kilka miesięcy, to Pocztex, który zmieni nazwę i to on będzie Poczta Polska. Fachowcy mają też złą informację dla filatelistów. Wraz z końcem listów skończą się znaczki. Chyba, że będą drukowane tylko po to, by kupowali je hobbysci.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓZDZEK TYGODNIA

Już był na liście, już witał się z 10 tys. euro... W sobotę myślał o Brukseli, a w niedzielę wyborcy też mu uciegli. Nic, naprawdę nie tak nie cieszy, jak porażka zarozumiałego głaba, tępego biurokraty, człowieka bez właściwości, jakim jest Wojciech Kolarski, przyprezydencki minister, któremu zamarzył się fotel deputowanego w parlamencie europejskim.

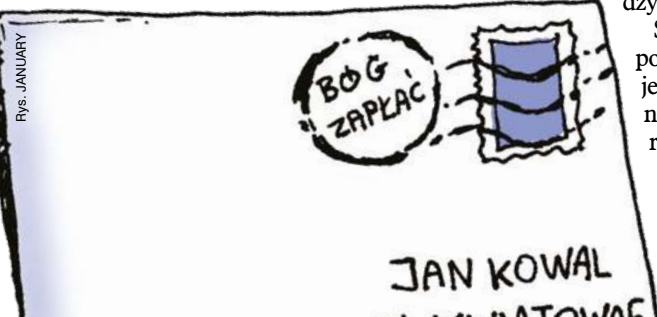
Dostał wszystko, co mogło mu się przydać w drodze do europarlamentu: pierwsze miejsce na liście Prawa i Sprawiedliwości w okręgu wielkopolskim, poparcie Andrzeja Dudy (głośne) i Agaty Kornhauser-Dudy (milczące), godziny lan-

su w stacjach telewizyjnych i radiowych. I co? I dupa! Kolarski zajął zaszczytne trzecie miejsce, premiowane talonem na balon i torbę cipsów. Przetrwał nawet z Ryszardem „Przekrętem” Czarneckim, z którym masowo wygrywają przedszkolaki z niepełnosprawnościami.

Co teraz robi minister porażka, skoro przez całe życie był urzędnikiem i nawet przesłuchiwać nie umie? Na rok wróci na tarczy pod skrzydła Dudów? Zapadnie na jakąś taktyczną chorobę? A może honorowo zniknie w politycznej nicości, gdzie było i jest jego miejsce?



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



Dobry posiłek powinien być zharmonizowany. Wypadałoby, żeby zawierał witaminy, węglowodany, nade wszystko łatwo przyswajalne białko. No i żeby smakował, nie wyłamując przy okazji sztucznych szcęk, czy innych rodzajów uzębienia.

W Polsce za wkładkę mięsną przyjęło się uważać głównie niekoszerną wieprzowinę i godzącą w wartości religijne hinduistów wołowinę. No i drób, do którego nikt nic nie ma, może poza lekarzami niechętnymi antybiotyków.

Ubody zaopatrują się w skrawki i najtańsze mięcho obrastające kości. Dysponujący nadmiarem pieniędzy żrą surowe ryby, płetwy rekinów i niepoczęte dzieci jesiotra.

Tymczasem wokół aż roi się o nietuzinkowych form zaspokajania zarówno głodu, jak i próżności. Biegłym w statystykach wyszło, że polskie domy pełne są wysokobiałkowego żywca. Mamy 7,5 miliona psów i ok. 6,8 mln kotów. Nie wspominając o zamieszkującej klatki drobnicy i tym co za oknem.

Szczekające proteiny

Każdy fizjolog żywienia przyzna, że psie mięso nadaje się do spożycia. Jeszcze 100 lat temu psina z rusztu była stałym składnikiem diety w wielu częściach Niemiec, głównie w Saksonii, Turynii i na Śląsku. Przed I Wojną Światową spisywano rocznie ok. 7000 oficjalnych przypadków uboju psów. W Chemnitz istniała rzeźnia tylko dla psów i kilka gospód, w których podawano psie mięso. Szczególnie cenionym regionalnym przysmakiem był psi tatar. Niemieckie prawo dotyczące kontroli mięsa z lat 40. wciąż zaliczało psy do zwierząt rzeźnych.

Miłośnikom kuchni francuskiej należy się informacja, że w roku 1870 wydano na Loarą książkę kucharską zawierającą przepisy bazujące na psim mięsie. Do dziś w szwajcarskim Appenzell tradycyjnym przysmakiem są wędzone parówki z psiny. Miejscowi uważają, że są to najzdrowsze podroby, bo nie mają hormonów jak cielęcina, ani antybiotyków jak drób.

Do psiny zachęca też Henryk, książę Dani, który nie dalej niż parę lat temu wyjawiał, że uwielbia zarówno żywe psy, jak i ich mięso. Szczególnie z ras, które są hodowane specjalnie na ubój. Jego zdaniem są porównywalne do kur, a smak mają podobny do cielęciny.

Po co jednak szukać daleko? W Polsce też są miejsca, gdzie zabijanie psów jest przekazywaną z pokolenia na pokolenie tradycją. Gdyby ktoś nie wierzył, niech pogada z ludźmi zamieszkującymi od pokoleń okolice Jaworzna.

Sposobów przyrządzania psiny są setki. Zaczyna się jednak zawsze tak samo. Z psa ściąga się ostrożnie skórę, usuwa kości i wnętrzności, następnie opala gazowym palnikiem lub nad ogniskiem. Tuszki rozcina się tak jak w przypadku królika czy sarny. Smakosze uważają, że psie mięso należy przyrządzać tak jak wołowinę. Czyli najpierw obsmażyć, a potem długo dusić.

Psina nadaje się świetnie na zrazy, gulasz, pulpety oraz na rosół, zwłaszcza że ugotowaniu staje się bardzo krucha. Stare poradniki kulinarne proponują: „Weź średniej wielkości psa,

Z kanapy na stół

Coś dla tych, którzy dbają o klimat, a brzydzą się jeść owadów.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

opalać nad płomieniem, zdejm skórę póki jeszcze ciepła, pokrój w dwucentymetrową kostkę, marynuj dwie godziny w słonej wodzie z octem i pieprzem. Smaż w oleju, dodaj cebuli i owoców jakie masz. Duś ok. półtorej godziny aż mięso zmięknie. Pod koniec duszenia do smaku dodaj wótrobę. Podawaj z pikantnym sosem pomidorowym przyprawionym zielonym pieprzem”.

Spożywanie psiego mięsa w Polsce nie jest zakazane. Prawo zakazuje za to znęcania się nad zwierzętami i świadomego zadawania im bólu. Zgodnie z art. 6 ustawy o ochronie zwierząt zabronione jest również ich nieuzasadnione lub niehumanitarne zabijanie. Skoro jednak kilkanaście lat temu krakowski sąd uniewinnił mężczyznę zajmującego się zabijaniem psów i wytapianiem z nich smalcu, to można uznać, że pozyskanie ze schroniska ważącego 25 kilo Rekso to – przy cenach innych gatunków zwierzęcych mięśni – dobry interes. Poza tym zawsze można rozejrzeć się dookoła i po zagwizdaniu, kandydat na gulasz zjawi się sam.

Futrzak w potrawce

Mięso z kota jest bogate w białko i ubogie w cholesterol. W zależności od sposobu odżywiania zwierzaka, jego smak może być bardzo słodki, ale może też przypominać królika lub kurczaka. Poradniki kulinarne przyjmują dwie opcje. Pierwsza mówi, że kota należy przyrządzać tak jak królika, czyli obsmażyć i dusić z warzywami. Inni uważają, że wystarczy do upiec w piekarniku, na grillu lub nad ogniskiem. Pamiętać należy jednak o częstym zwilżaniu pieczonej tuszki.

Pochodzący z 1529 r. przepis na kocią potrawkę znaleziono na terenach dzisiejszej Hiszpanii. Gulasz z kota był też popularną potrawą w Kraju Basków.

W XIX w. kotami zjadali się również Brytyjczycy. Całkiem niedawno, bo w 1996 r., koty stały się przysmakiem w ogarniętej kryzysem Argentynie.

W 2007 r. w Australii potrawka z kota omal nie wygrała lokalnego konkursu kulinarnego. Usmażona na brązowo kocina, z dodatkiem trawy cytrynowej i pieprzu, smakowała jak połączenie królika z kurczakiem. Nie wygrało tylko dlatego, że było zbyt twarde. Pewnie przez to, że w Australii z powodu braku zimy nie stosuje się wywieszania martwego kota na balkonie, żeby skruszał.

Znany włoski znawca kuchni Beppe Bigazzi radził w swej książce, by kocie mięso najpierw przez trzy dni moczyć w wodzie, by potem dusić na wolnym ogniu. Jego zdaniem tak przyrządzone danie może się równać z króliczym, gołęmb czy drobiowym. Koty nadają się też na zupy i buliony do sosów. Mają niestety mało mięsa i dlatego pozytywnie ich ze schronisk, nawet przy minimalnej opłacie, jest nieracjonalne ekonomicznie.

W kilkuset tysiącach polskich domów pomieszkują w klatkach świnka morska. Coś, co również można spożytkować na obiad. Zażera się nią znaczna część Ameryki Południowej i coraz więcej ludzi na innych kontynentach. Niestety peruwiańskie świnki są lepsze od naszych, choćby dlatego, że mają około kilograma. Nasze są dużo mniejsze, więc aby zaspokoić głód, należało by ich zjeść kilka. Świnkę można gotować, smażyć lub dusić z czosnkiem, cebulą i ostrą papryką. Najsmaczniejsza jest jednak grillowana.

Najpopularniejszy przepis dotyczy świnki na patyku. Potrzebujemy 2–3 świnki morskie na osobę. Na taką porcję potrzebne będą trzy ząbki czosnku, pół cebuli, trochę szczypiorku, pół ostrej papryczki, dwie

łyżeczki mielonego kminku i pół łyżeczki soli. Przygotowania należy rozpocząć dzień wcześniej. Opalamy zwierzątko z sierści i patroszymy. Pozostałe składniki drobno siekamy i mieszamy. Ewentualnie z niewielką ilością oliwy. Tak powstałą mieszkanką nadziewamy zwierzaka. Nacieramy z zewnątrz. Pozostawiamy na minimum 12 godzin. Po upływie tego czasu trzeba nadziać świnkę na patyk. Opieka się nad żarem przez około 1,5 godziny. Świnka powinna być złota i chrupiąca. Aby ją ładnie przyzłocić, niektórzy w ostatniej chwili zanurzają potrawę w roztopionym maśle i opiekają jeszcze przez moment. Podawać z pieczonymi bądź smażonymi ziemniakami.

Białko z sąsiedztwa

Według zoologów szczury są populacją równą ludzkiej. Dlatego pozyskanie ich dla celów kulinarnych nie powinno nastęrczać trudności. Szczurze mięso jest chude, bogate w proteiny i doskonale nadaje się do niskokalorycznych diet. Główną wadą szczura – z kulinarnego punktu widzenia – jest jego wielkość. Na jedną porcję dla dorosłego człowieka należy pozyskać co najmniej trzy osobniki. Najdelikatniejsze w smaku są szczurzątko, najlepiej z terenów wiejskich. Szczur zamieszkujący metropolie ma drugo-, a nawet trzeciorzędne znaczenie kulinarne.

Szczurze mięso nadaje się do pieczenia, smażenia, na zupę. Można też pokusić się o podanie szczura faszerowanego. Farsz przyrządza się tak jak do kurczaka.

Zdaniem smakoszy, nawet najlepszy drób nie dorównuje mięsu szczura. Gryzoń ma cieńszą skórę i jest delikatniejszy. Zwolennicy kuchni wschodniej preferują szczurzynę przy-

prawioną bazylią, chili i imbirem. Z braku dalekowschodnich ingrediencji, wystarczy gryzonia zatłuc, wypatroszyć i nadzianego na patyk opalić nad ogniskiem. Potem trochę soli i pieprzu i już. Koneserzy dodają, że zamiast patroszyć, lepiej jest przed zabiciem przegłodzić szczura przez jeden dzień. Wtedy pieczony z wnętrznościami jest jeszcze smaczniejszy.

W Ghanie duży szczur z gatunku *Thryonomys swinderianus* uważany jest za kulinarny specjał. Najczęściej jest podawany w sosie własnym. Wielkością przypomina znaną na polskim rynku kulinarnym nutrię, ale smakowo i konsystencją bije ją ponoć na głowę.

Kucharskie portale internetowe pełne są przepisów: „Najpierw złap szczura, potem opal go nad płomieniem, żeby pozbyć się futerka. Usuń końce pazurków, umyj i wypatrosz, wnętrzności tymczasem odłóż osobno. Utlucz w moździerzu, aż zmiażdżą się wszystkie kostki, usuń ząbki. Dodaj pół litra wrzącej wody, wymieszaj, dodaj przyprawy, jeśli masz trochę octu, czarnego pieprzu, gałki muszkatołowej. Przemij dokładnie wnętrzności, poszatkuj w słonej wodzie i dodaj do mięsa. Pogotuj z pięć minut, dodaj nieco słonej wody. Duś wszystko pod przykryciem na wolnym ogniu jakąś godzinkę. Dodaj kruszynę starego chleba, jeśli masz, i podawaj do stołu. Większa liczba szczurów uczyni danie jeszcze bardziej smakowitym”.

Fani smakowitości rozpiskują się o walorach mięsa z jeża, które może stanowić źródło protein o smaku prosiaka. Najgenialniejszy jest ponoć oskórowany i wypatroszony. Pieczony w glinie jedynie z domieszką pieprzu i soli.

Na ślimaki nie ma co kogoś namawiać. Mięsa w nich jak na lekarstwo, a proces przygotowania, czyli wielogodzinne gotowanie, zużywa zbyt wiele drogiej energii.

Można się też zastanowić nad mięsem wiewiórczym. Jednak poza warszawskimi Łazienkami, wiewiórka na ogół jest poza naszym zasięgiem. Co innego w Wielkiej Brytanii, gdzie łatwiej ją spotkać na stoiskach w hipermarketach w formie tuszek.

Gdyby jednak ktoś preferował ptactwo, to wypada, by wiedział, że łabędzie są jadalne, choć w smaku przypominają podeszwę. Dzięki kaczki zamieszkujące oczka wodne w parkach, przygotowuje się tak samo jak każdy drób. Z niedgdyjszym przysmakiem, gołębiami, trzeba uważać. Te zamieszkujące centra wielkich miast mogą być siedliskiem wielu groźnych chorób i pasożytów. Nie wszystkie z nich można wyeliminować obróbką termiczną.

O wiele bezpieczniej zjeść coś z krukowatych. Srokę, kawkę, czy wronę siwą. Według znawców, najsmaczniejsze są młode wrony pozyskiwane w maju i czerwcu. W smaku przypominają mięso gołębia hodowanego. Stare wrony trzeba gotować długo, a ich mięso i tak będzie twarde i łykowate. Niemniej jednak na rosół nadają się doskonale. I nie trzeba zanieczyszczać atmosfery, sprowadzając je z drugiego końca świata.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ W miejscowości Bykowiec niedaleko Sanoka (woj. podkarpackie) pojawił się niedźwiedź. Wójt Anna Hałas przypomina, że gmina dostała zgodę na płoszenie niedźwiedzi od Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Rzeszowie. Płoszeniem za pomocą hałasu mogą się zająć jednostki ochotniczej straży pożarnej albo mieszkańcy, gdy niedźwiedź zbliży się do zabudowań na odległość mniejszą niż 100 m. Nie byłaby to jakaś nadzwyczajna informacja, gdyby nie to, że znaleźliśmy ją w „Kurierze Szczecińskim” wydawanym w mieście bardzo odległym od Sanoka, położonym w woj. zachodniopomorskim. Zastanawia nas, czy koledzy redaktorzy zamieścili ją z zawiści, czy może w poczuciu wyższości, że niedźwiedzie jednak Szczecina nie nawiedzają.

■ W rezultacie ulew i gradobicia, które przeszły nad Bielskiem-Białą, zniszczonych zostało kilkanaście luksusowych samochodów, podobnie jak kilkadziesiąt nieluksusowych. Właściciele aut z lepszych stajni organizują kwesty na portalach społecznościowych z przeznaczeniem na wyleczenie limuzyn z reumatyzmu, próchnicy karoserii oraz pleśni tapicerki wywołanych przez nadmiar wilgoci. Robią tym skuteczną konkurencję kwestującym na leczenie raka, wydłużenie kończyn i przeszczep włosów. Stawia to ludzi dobrej woli w kłopotliwej sytuacji. Sam bym nie wiedział, czy dać jałmużnę na lakierowanie mercedesa czy na wiarusa, który od wybuchu ruskiego granatu stracił na Ukrainie obie stopy.

■ Sławomir Szczepański został burmistrzem gminy Merton w południowym Londynie. Zaczynał wypiarską karierę w budowlance, ale potem zajął się bardziej intratną polityką. Był członkiem Partii Pracy i Polish Family Association. Na początek zwolnił kapelana urzędu gminy. Zachowa jednak tradycję odmawiania modlitw przed posiedzeniami rady. Modły będą wznoszone przez członków różnych grup wyznaniowych. Anglia to jednak kraj osobiowości nie do pomyślenia. Tam papieżem była nawet kobieta!

■ Kierowca Dacii Duster zderzył się z jadącym na sygnale wozem strażackim w gminie Płońsk. Jak się

okazało, rumuński samochód został ukradziony przez Niemca, który uciekł z miejsca wypadku. W końcu dopadła go polska policja. Moja ponad 90-letnia sąsiadka, która pamięta Niemców z autopsji, twierdzi, że to bardzo śmieszne.

■ Dolnośląscy rolnicy chcieli złożyć w biurze Platformy Obywatelskiej we Wrocławiu petycję pełną upierdliwych postulatów. Ale mieli pecha. Drzwi do biura partii się popsęły. Nie wpuszczały nikogo ani w jedną, ani w przeciwną stronę. Szef dolnośląskiej PO Michał Jaros wyjaśnił rolnikom, że są inne, bardziej współczesne sposoby składania petycji. Można je wysłać mailem lub faksem, a niekoniecznie od razu włożyć w gumofilcach na salony.

■ Ekspłodował Volkswagen jadący ul. Partyzantów przy zielonogórskiej komendzie miejskiej policji. Kierowca zginął na miejscu. Samochód spalił się kompletnie. Rzeczniczka miejscowej policji insp. Małgorzata Stanisławska utrzymuje, że policja nie miała z tą tragedią nic wspólnego.

■ Natomiast we Wrocławiu o trzeciej w nocy wyleciał w powietrze bankomat. Ponieważ wszyscy we Wrocławiu zgodnie twierdzą, że nie mają z wybuchem nic

wspólnego, uzasadnione jest podejrzenie, że bankomat eksplodował z własnej inicjatywy. Na szczęście krzywdę zrobił tylko samemu sobie.

■ Rozpoczęły się największe w historii ćwiczenia wojsk NATO na Bałtyku Baltops 2024. W manewrach bierze udział 12 tys. marynarzy z 19 państw NATO, wśród których znalazła się Polska i po raz pierwszy Szwecja. Wprawdzie tym razem jesteśmy ze Szwedami po tej samej stronie barykady, ale niech im się nie wydaje, do jasnej cholery, że sprawa Jasnej Góry puszczonej im została zupełnie w niepamięć.

■ W Jelczu-Laskowicach poszukiwano piromana, który spopileł trójkołowy rowerek, wózek dziecięcy i śmietnik. W wyniku szeroko zakrojonych działań operacyjnych oraz głębokiej penetracji środowiska przestępczego tudzież marginesu społecznego ustalono, że podpalaczem jest ośmioletni chłopiec. Wioletta Polerowicz z Komendy Powiatowej Policji w Oławie utrzymuje, że dadzą mu teraz popalić.

RJ

PS Informacje pochodzą z publikatorów gminnych i innych. Za ich ewentualną kłamliwość przepraszamy w imieniu własnym i kolegów z terenu, nie poczuwając się do żadnej odpowiedzialności.

Pięć osób zabitych fentanylem w Zurominie – to kolejny sukces polskiego państwa w gonieniu narkotykowego królika.

Fentanyl to silny narkotyk należący do opioidów, 50 razy silniejszy od heroiny. Przez ostatnie kilkanaście miesięcy na świecie zabił już dziesiątki tysięcy ludzi. I nawet jak ktoś go nie chce brać, to kupując u dileram amfetaminę, czy inny stymulant, nigdy nie ma pewności, czy zabójczy proszek nie został do narkotyku domieszany. Wielką zaletą fentanylu jest bowiem to, że jest bardzo prosty i tani w produkcji. Idealnie więc nadaje się do wymieszania z kokainą, czy czymkolwiek.

Trujące przepisy

Po otwarciu piwa, w którym będzie pływało truchło myszy, najpierw zwymiotujemy, potem się wkurzymy, a na końcu sfotografujemy wszystko i wrzucimy na Facebooka lub wyślemy do redakcji tabloidu.

Po kupieniu wędliny z szarym futrem i resztkami niezmielonego szczerzego ogona pobiegniemy do sanepidu i zrobimy aferę. Tak samo w przypadku znalezienia w mące hodowli grzybych i żywotnych larw, kapsla lub sznurka w chlebie, czy kamyka w sałcesonie.

Kiedy w zakupionym w aptece opakowaniu witaminy znajdzie się jakiś psychotrop, albo inne świństwo zbijające ciśnienie, robi się afera ogólnokrajowa. Cała partia lekarstwa jest wycofywana z aptek, a ci, co zdążyli specyfik nabyć, mają jak w banku zwrot pieniędzy. Mało tego, ten kto się pomylił – idzie siedzieć, bo prokurator przecież nie odpuści.

Państwo tak bowiem sobie wykombinowało, że musi dbać o to, by obywatel nie był oszukiwany, a tym bardziej truty przez handlowca i producenta. Jest jednak dziedzina, gdzie państwo działa w drugą stronę i niemal przymusza do oszukiwania, a czasem wręcz do trucia. Tą działalnością są narkotyki.

Nie opracowano żadnej normy dla tej, jakże popularnej, grupy towarów. Z tego prostego powodu, że jest nielegalna. Nielegalna, czyli ma jej nie być. Tymczasem jest. I to powszechnie.

Z jednej strony mamy amfetaminę, gdyż Polska jest dość znaczącym w Europie producentem tego narkotyku, a z drugiej strony bardzo popularne jest u nas ziele konopi, którego plantacje są przez policjantów likwidowane niemal codziennie. Ponadto mamy do czynienia z importowaną z Ameryki Południowej kokainą oraz coraz mniej popularną heroiną. Dołączmy do tego dostępne na każdej dyskoteczce tabletki ecstasy, a ostatnio właśnie fentanyl – i będziemy mieli komplet.

Gdyby komuś wydawało się, że drągi są domeną ćpunów, to jest idiotą. Narkomani są dla dilerów minimalnym procentem klientów. Prochy i zioło kupują wszyscy. Od uczniów po sędziów i prokuratorów.

A może właściwszym określeniem byłoby, że wydaje im się, że kupują drągi, bo to, co jest zawartością plastikowych torebek, za narkotyki trudno uznać.

Zdegenerowana trawa

W latach 60. marihuana zawierała od 0,5 do 1 proc. THC, teraz plantatorzy sadzą krzaczkę, które powinny zawierać nawet 14 proc. THC. Powinny. Problem jednak w tym, że zawierają z reguły coś innego.

Choćby brix, czyli środek spulchniający rosnącą jeszcze trawę. To, że został dodany, można rozpoznać po tym, że w trakcie palenia marihuana strzela, iskrzy się, popiół z jointa nie chce opadać i zamienia się w kamień, a z fiki trzeba go wydłubywać wykałaczką.

Aby zwiększyć ciężar, dilerzy często dodają do mariški piasek. Tyle, że drobno utarty w móżdżku. Co cwańsi handlowcy dosypują talk. Posypana nim marihuana sprawia dobre wrażenie. Susz pomimo intensywnego zapachu smakuje bardzo źle. A przy częstym paleniu talku można nabawić się pylicy krzemowej.

Jeśli dilerowi nie chce się rozcierać piasku, ani biegać po talk, sięga do szafki kuchennej i wyciąga cukier. Rozpuszcza go w wodzie i spryskuje zioło. Dzięki temu trawa może zyskać na wadze nawet do 20 procent. Dla znawcy cukier jest jednak dość łatwy do wyczucia. Zioło jest jakies sztywne, ciężko się przypala, a joint przygasa. Jest bardzo niesmaczne, wręcz drapie w gardło. Nie wspominając już o tym, że palenie suszu z cukrem powoduje wydzielanie się rakotwórczych substancji, a drobiny karmelu osadzają się w płucach.

Kolejnym wynalazkiem sprzedawców trawy jest chrzczenie zioła lakierem do włosów. Susz robi się ciężki, ale kop po wypaleniu jest mocny. Tyle że paląc taką marihuanę, klient będzie odczuwał ostry ból gardła. No i rzecz jasna nie ominie go kaszel



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

spowodowany znajdującymi się w spalonym lakierze substancjami rakotwórczymi.

Ostatnio coraz częściej można zetknąć się z czymś, co występuje jako trawa, a ma z nią wspólną tylko substancję czynną, czyli THC. Tyle, że syntetyczne. Chemicy opracowali już metody wytwarzania kanabinoidów i spryskują nimi wszystko jak leci, z przyprawami kuchennymi włącznie.

Policja twierdzi jednak, że takie uduziwienia jak lakier, piasek, czy cukier, mimo że częste, to przegrywają jednak z najpopularniejszą metodą rozcieńczania marihuany, czyli z majerankowaniem. Najczęstsza proporcja takiej mieszanki ziołowej to pół na pół. Choć zdarzają się i tacy, którzy wcisną klientowi do palenia czysty majeranek, szalwie czy podbiał.

Wśród palaczy krąży bajki o nasączaniu trawy mieszankami mocniejszych dragów. Nieprawda otóż. Mocniejsze narkotyki są drogie. Trzeba by być idiotą, żeby marnować je na mariškę. Nasączane skrety stosują jedynie goście, którzy robią fajki gwałtu. Daje się wtedy pannie takiego zakokainowanego, czy zaamfetaminowanego skrety i zamiast niechętniej panny, ma się demonu seksu, myślącego tylko o dobraniu się do męskiego rozporka.

Wyrób amfetaminopodobny

O ile w przypadku trawki susz musi wyglądać jak susz, to przy amfetaminie wymóg jest jedynie taki, że narkotyk ma mieć formę proszku. Jeszcze 20 lat temu porcja narkotyku zawierała nawet 30 proc. czystej amfetaminy. Według chemików z Centralnego Laboratorium Kryminalistyki KGP, od kilku lat, najczęściej sprzedawaną mieszanką było: 17 proc. amfetaminy, 55 proc. laktozy, glukozy lub skrobi, 22 proc. kofeiny, 3 proc. ketaminy i 3 proc. ecstasy. Kofeina przyspiesza akcję serca i zmniejsza senność, udając tym samym działanie amfetaminy. Glukoza zwiększa objętość i wagę porcji, nie powodując zbryleń. A ketamina i ecstasy są po prostu tańsze w produkcji niż amfa.

Dziś średnia zawartość substancji narkotycznej w ulicznej porcji amfetaminy to 10–15 proc. Choć ostatnie doniesienia z CLK mówią o coraz częstszych przypadkach zawartości amfetaminy w amfetaminie na poziomie 5 proc. Dominującym wypełniaczem stała się kreatyna, czyli suplement stosowany przez sportowców na przyrost siły i masy.

Jak ktoś ma dobrego dileram, to obok amfy i kreatyny może załapać się jeszcze na kofeinę. Jak ma złego, to kupi tylko parę procent amfy i resztę gipsu. Rekordem były tabletki zawierające 2 proc. amfetaminy i 98 proc. gipsu budowlanego. Przez wiele miesięcy królowała w Warszawie amfa o następującym składzie: 5 proc. amfetaminy plus kreatyna wymieszana ze skrobią, a do tego znaczna ilość kofeiny i proszku do pieczenia – w proporcjach zależnych od tego, ile się chłopakom synpęło.

Są jednak dilerzy centusie, którym szkoda kasy na glukozę. W Zawierciu młodzi ludzie wpadli na pomysł rozcieńczania amfy szklanym pyłem służącym do produkcji ceramiki. Nie ma barwy ani zapachu, więc dla nabywców narkotyków był praktycznie niewykrywalny. Jego obecność potwierdziły dopiero badania chemiczne. Klienci nie oponowali.

Wszystkie te wynalazki funkcjonują nadal, ale już w co piątej działce wyrobu amfetaminopodobnego policja znajduje domieszkę fentanylu.

Naćpani szkłem i gipsem

Kokaina jest droga bardzo, każdemu opłaca się więc ją chrzczyć. Nawet środkami, które też do najtańszych nie należą. Najlepsze przebadane

w Polsce próbki detalicznego koksu zawierały nawet 35 proc. czystej kokainy. Jednak ostatnio, najczęściej występująca mieszanka zawiera 5 proc. tego narkotyku. Reszta to głównie glukoza oraz benzokaina lub lignokaina, paracetamol a także fenacetyna, levamisol, lidokaina, paracetamol, kofeina i – rzecz jasna – fentanyl.

Glukoza jest tania i robi za massa tabulettae. Benzokaina to chemia wykorzystywana w stomatologii jako znieczulenie miejscowe oraz w niektórych kondomach do ośpienia receptorów penisa, by za dużo nie odczuwał i strzelił jak najpóźniej. Poza tym benzokaina daje efekt drętwienia słówków. Fenacetyna, niegdyś stosowana jako środek przeciwbólowy, dziś jest już wycofana za względu na uszkodzenia nerek i nowotwory, które może spowodować. Levamisol to środek na odrobaczenie. Lidokaina zaś, to kolejny środek do znieczuleń miejscowych. Jak do tego dołożymy przeciwbólowy i rozkurczowy paracetamol i pobudzającą kofeinę oraz wysyłający w kosmos fentanyl, to nie ma siły, żeby taka mieszanka nie sponiewierała każdego.

Żeby jednak tylko to... Jest i koks zawierający drobinki szkła z lamp jarzeniowych. Ranią błony śluzowe nosa, sprawiając, że substancja czynna szybciej trafia do krwi.

Ecstasy oficjalnie powinno się składać z 75 proc. specyfiku o nazwie MDMA i 25 proc. amfetaminy. Trafienie na coś takiego to jak czwórka w tolotoku. Najczęściej i jednej, i drugiej substancji jest niewiele. A bywa, że i wcale. Tyle, że zanim nabywca się zorientuje, że nic go nie kopie, po dyskotekowym dilerze nie będzie śladu.

Najpopularniejsza dziś w Polsce ecstazy, to mieszanka paru procent MDMA, śladowych ilości amfy, fentanylu oraz kofeiny i glukozy. Jak ktoś ma szczęście, to natrafi też na efedrynę i ketaminę. Kofeina daje kopa, który przypomina początkową fazę po MDMA. Euforyczne i pobudzające działanie amfetaminy również jest podobne do ecstasy. Efedryna wywołuje podniecenie, nerwowość, podwyższone ciśnienie krwi oraz dwu a nawet trzykrotny wzrost palpacji serca. Ketamina używana jest w weterynarii do znieczulania przedoperacyjnego małych zwierząt. U ludzi może spowodować utratę przytomności, katepsję, niekontrolowane ruchy gałek ocznych i halucynacje.

Okazuje się jednak, że w ecstazy doskonale sprawdza się też strychnina. Specyfik znany głównie jako trutka na szczury i starsze panie w jeszcze starszych powieściach kryminalnych.

Poza tym za ecstazy bardzo często uchodzącej mają standardowe medykamenty przeciwbólowe, które w odpowiedniej dawce dają równo pod czaszką.

Lepiej nie widzieć

Narkotyki zanieczyszczone różną chemią powodują, że toksykolodzy mają problemy z leczeniem. Gdyby delikwenci byli naćpani tylko czystym koksem, amfą czy MDMA, nie byłoby problemów. Mając do czynienia z mieszanką różnych wynalazków, w kilkudziesięciu przypadkach rocznie lekarze rozkładają ręce i w beznadziejnie obserwują ostatnie tchnienie pacjenta. Żaden toksykolog nie powie oficjalnie, że tych śmierci można by uniknąć, gdyby tylko politykom się chciało.

Im się jednak nie chce. Wolą utrzymywać fikcję, która powoduje, że z roku na rok jest coraz gorzej. Bo co z tego, że policja nauczyła się likwidować kanały przerzutu kokainy? Że co chwilę wykrywa szklarnie z trawą, robi naloty na laboratoria produkujące amfę, zamyka dilerów?

Efektom tego nie jest najmniejsze choćby zmniejszenie podaży narkotyków. Działania te powodują jedynie, że towar proponowany przez dilerów jest coraz gorszy. Rynkiem narkotyków – jak każdym innym – rządzi zysk. W ten zysk jest też wkalkulowane ryzyko. Jeśli ryzyko rośnie, to są dwa wyjścia: albo rosną też ceny, albo spada jakość towaru. Skoro żywotność fabryczki amfy to ledwie kilka miesięcy, to trzeba w tym czasie wyprodukować jak największą ilość towaru. Jak najwięcej, czyli zmieszać czysty produkt z czym się da i sprzedać go hurtownikom. Hurtownicy też muszą dołożyć swoje i mnożyć towar dosypując do niego kolejne wynalazki. To idzie do dilerów, którzy też zwielokrotniają swoje zyski przez cudowne przyrosty masy narkotyków.

Na każdym z tych etapów dodaje się do drągów to, co kto ma pod ręką i co ma spowodować u klienta kopa. Raz będzie to kofeina, a kiedy indziej jakaś trucizna, a teraz głównie fentanyl. Uczestnicy tej piramidy wiedzą, że nie ma znaczenia, czy wpadną na handel mniej czy bardziej zanieczyszczonym towarem. I tak pójdą siedzieć.

Wynik wojny z narkotykami znamy od dawna, bo tę wojnę przegraliśmy i wciąż przegrywamy. Rozwiązanie jest znane i podpisują się pod nim politycy, którzy przeszli już na emeryturę. Trzeba z dragami bowiem zrobić to, co z papierosami i alkoholem. Uznać je za towar i obłożyć podatkami oraz – jak w przypadku innych środków do spożywania przez ludzi – poddać nadzorowi sanitarnemu. Gangi by splajtowały. Kupujący narkotyki nie umieraliby na skutek domieszekowych trucizn, a państwo miałooby mnóstwo kasy z podatków. Tylko że to przecież niemożliwe.

TADEUSZ JASIŃSKI

R E K L A M A

Prof. Adam Gierek
Polityka klimatyczna Unii

Jak skończy
Obajtek

Prokurator Janeczek
– od Blidy do granicy

Wojciech Kuczok
w nowym cyklu piłkarskim

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

HIPOKRYZJA NA GRANICY
**WPUSZCZAĆ
CZY STRZELAĆ**

Obywatele dowiedli swego zainteresowania dyskontynuacją własnej państwowości.

Wybory do parlamentu krajowego i europejskiego, przeprowadzone w Bułgarii w duecie 9 czerwca, przyniosły katastrofalne wyniki. Nikt nie spodziewał się wprawdzie przełomowych zmian, ale każdy liczył na choćby pełnienie w stronie odwrotną niż wprost w przepaść.

Tymczasem pejzaż polityczny, jaki wyłonił się w poniedziałkowy poranek, jest przerażający.

Dwie niedzielne elekcje wyraźnie dowiodły tego, co garstka dziennikarzy i naukowców powtarza od kilku lat: demoralizacja i apatia, nagromadzone w masowej świadomości przez ponad trzy dekady, okazały się skuteczniejsze od wszystkich wojen, w których Bułgaria wzięła udział od zarania swojej nowożytnej państwowości 150 lat temu.

Dziś, w 2024 r. Bułgarzy pokazali, iż nie są zainteresowani dalszą bytnością na politycznej mapie Europy i świata.

Oswoili się z myślą, że projekt społeczno-kulturowy i państwowo-polityczny pod nazwą „Bułgaria”, po blisko 1400 latach istnienia, można już spokojnie zakopać na cmentarzu historii.

Wielki brat konsultuje

Oczywiście, to nie jest tak, że odpowiedzialność za to, co obserwujemy, spada wyłącznie na bułgarską opinię publiczną. Odpowiedzialność za uruchomienie i sprawstwo tego procesu obciąża niewątpliwie Stany Zjednoczone Ameryki, których ambasada, od czasów kolorowej rewolucji na przełomie lat 1996–97, wzięła proces wewnątrzpolityczny w tym kraju na ręczny ster.

W pewnym sensie nie jest to niczym wyjątkowym; Waszyngton zniszczył wiele państw i narodów. Natomiast mroczną groteską jest to, w jaki sposób Bułgarzy współuczestniczą w tym dziele samozniszczenia. U każdego, kto przyjrzy się temu zagadnieniu bliżej, budzić ono musi poważny niepokój. Mamy bowiem do czynienia z oczywistą patologią – nie tylko polityczną, ale i psychologiczną i filozoficzną.

W sytuacji, w której znalazła się obecnie Bułgaria – zwłaszcza w obliczu tego, co dzieje się na Ukrainie – społeczeństwo to stanęło wobec oczywistego wyboru między wojną a pokojem.

Nie tylko w Bułgarii – ale tam ta kwestia jest wyjątkowo mocno obecna w przestrzeni publicznej. Wynika to między innymi z gigantycznego rozdziewku między jednoznacznie prorosyjskimi sentymentami większości społeczeństwa a

fanatycznie euro-atlantyckim kursem realizowanym przez klienckie partie zarządzane przez „tę ambasadę”, z którą niedawny premier Kiril Petkow „skutecznie skonsultował wybór szefów służb wywiadowczych”

– jak mieliśmy okazję usłyszeć kilka miesięcy temu na ujawnionych nagraniach z tajnej narady kierownictwa jego partii Kontynuujemy Zmiany (PP) i jego koalicyjnych partnerów z Demokratycznej Bułgarii (DB).

Jednak nawet w obliczu tak fundamentalnej kwestii Bułgarzy nie potrafili zająć jednoznacznego stanowiska.

Borisow cały na biało

Minione wybory doprowadziły do zamknięcia symboliczną klamrą cyklu kolejnych zawiedzionych nadziei. Ci, którzy obserwowali Bułgarię w ciągu ostatnich kilku lat, wspominają dziś z rozrzewnieniem gigantyczną mobilizację przeciwko ostantacyjnej korupcji schyłkowego Bojko Borisowa – człowieka, który przez 15 lat był w Bułgarii władcą niemal absolutnym. Nadzieje były naprawdę wielkie, ponieważ ruch społeczny, jaki wytworzył się w 2019 r., spowodował niecharakterystyczne dla Bułgarii porozumienie ponad podziałami.

Bułgarzy przekreślili Bułgarię



mi. Stronnictwa opozycyjne się zjednoczyły; społeczeństwo było zmęczone, ale i skrajnie sfrustrowane codzienną agonią i rozpadem państwa.

Cokolwiek słynny film obrazujący te zjawiska pod wymownym tytułem „Ostatnia karetka w Sofii” nakręcono 12 lat temu. Od tego czasu problemy – nie tylko w służbie zdrowia, ale w każdym sektorze – pogłębiły się drastycznie.

I doprawdy nie chodzi tylko o infrastrukturę i gospodarkę, ale o codzienność, o rzeczywistość. Brakowało jakichkolwiek zasad – politycznych, moralnych czy prawnych. Nie było żadnej struktury, porządkującej życie publiczne, przekształcone w kloakę korupcji i klientyzmu, nad którą baczna opiekę sprawowała ambasada amerykańska.

Niestety: od czasu, gdy cztery lata temu odsunęto Bojko Borisowa od władzy, zrobiono wszystko, aby dziś powrócił on nie na białym koniu, a wręcz w białej limuzynie, za którą wędruje oszrak białych wielbłądów. Borisow, osiągnąwszy wynik na poziomie 24 proc., ma dziś znów szansę przejąć ster rządów w Bułgarii. Jego partia GERB (Obywatele na Rzecz Europejskiego Rozwoju Bułgarii) zdobyła pierwsze miejsce zarówno w wyborach parlamentarnych, jak i europejskich przy przeobrażeniu niskiej frekwencji w okolicach 30 proc.

Etnomafia i elita

W wyborach do Zgromadzenia Narodowego na drugim miejscu uplasowała się kolejna zadziwiająca organizacja, jeden z najbardziej patologicznych produktów bułgarskiej transformacji, a mianowicie Ruch na Rzecz Praw i Swobód (DPS). Przedstawiany jest jako partia liberalna, lecz w rzeczywistości jest to li tylko etnomafiajna struktura bazująca na poparciu bułgarskich Turków; typowa organizacja oligarchiczno-klientelistyczna otoczona całą siecią firm i podmiotów funkcjonujących na pograniczu korporacyjno-politycznym, zarówno w samorządach, jak i na poziomie centralnym. W ten sposób

w ciągu ostatnich dwóch lat. Jedną z nich była nielegalnie przeprowadzona reforma konstytucyjna, która umożliwiła osobom posiadającym podwójne obywatelstwo dostęp do stanowisk rządowych przy jednoczesnym ograniczeniu i tak wąsko skrojonych kompetencji wybieranego w powszechnych wyborach prezydenta.

Dotyczy to zwłaszcza nominowania rządów technicznych, sprawujących władzę w okresie, gdy większość parlamentarna nie jest w stanie wyłonić rady ministrów. Wcześniej działanie to było w gestii prezydenta – obecnie każdy rząd techniczny jest praktycznie przedłużeniem poprzedniej ekipy, co jest kompletnie sprzeczne z samą ideą tworzenia rządu tymczasowego.

Koalicja partii Kontynuujemy Zmiany i Demokratyczna Bułgaria to zlepek organizacji reprezentujących bardzo wąską grupę bułgarskiej opinii publicznej – by nie powiedzieć: bardzo wąskiej grupy sofijskiej opinii publicznej, żyjącej prozachodnią mitomanią niezreformowaną od lat 80.

Słuszna strona barykady

Są to ludzie fanatycznie przywiązani do „wartości euroatlantyckich” i demokracji; cokolwiekkolwiek przez to rozumie. Ich przywódcy zachowują się i wypowiadają jak kaznodzieje albo obłąkani doktrynerzy – ich misją jest siłowa okcydentalizacja Bułgarii, za wszelką cenę.

To są ludzie, którzy otwarcie wystąpili przeciwko większości bułgarskiego społeczeństwa i publicznie chwalią się tym, jak brutalnie podeptali jego światopogląd, pamięć historyczną i polityczne emocje.

Zgodnie z oczekiwaniami ambasady Stanów Zjednoczonych w Sofii i Departamentu Stanu, uplasowali Bułgarię jednoznacznie po antyrosyjskiej stronie barykady.

Dokonali również kilku bardzo ważnych i spektakularnych gestów mających rozerwać ostatnią bodaj tkankę historyczno-politycznego sentymentu, który jako tako spajał jeszcze bułgarskie społeczeństwo: braterski stosunek do Rosji. Przykładem takiego działania może być zniszczenie pomnika Armii Czerwonej w Sofii czy hrabiego Ignatiewa w Warnie, próby likwidacji Święta Niepodległości obchodzonego 3 marca (gdyż kojarzy się z wojną rosyjsko-turecką, dzięki której Bułgaria w ogóle istnieje), obstrukcja corocznego festiwalu braterstwa broni rosyjsko-bułgarskiej świętowanego na przełęcz Szipka czy ciągłe demonstrowanie ostantacyjnej gotowości do poświęcenia zasobów całego państwa dla „wolnej Ukrainy”.

Jednocześnie przez ostatnie dwa lata rządów, w których główną rolę odgrywała koalicja Kontynuujemy Zmiany i Demokratyczna Bułgaria, nie wybudowano nawet jednego centymetra drogi. Swego czasu Bojko Borisow dobu-

wawszy kilometr czy dwa do autostrady wyszykowanej jeszcze za Żiwkova, chwalił się niczym Trzaskowski kładką przez Wisłę. Teraz nie było nawet tego. Mieliśmy do czynienia wyłącznie z podporządkowywaniem całej Bułgarii interesom amerykańskiego imperium. Nic poza tym się nie wydarzyło, nie dokonano żadnej, choćby mikroskopijnej inwestycji. O kwestiach socjalnych nawet nie ma sensu wspominać, choć Bułgaria jest najbiedniejszym krajem UE.

To, że taka koalicja może dziś zebrać ponad 16 proc. głosów – jest obrazem niebywałym. Nie ma żadnego racjonalnego uzasadnienia ani przesłanki, żeby na tych ludzi głosować. Nie da się dzisiaj powiedzieć uczciwie niczego w ich obronie. Frekwencja była dramatycznie niska, i to przełożyło się na ten syntetycznie wysoki wynik wyborczy.

Naziole, lewacy, apatia

Bułgarzy wiedzą, że absencja wyborcza sprzyja takim partiom jak formacja Bojko Borisowa, koalicji Kontynuujemy Zmiany i Demokratyczna Bułgaria, albo turecka DPS. Te organizacje mają rozbudowaną, zdyscyplinowaną i dobrze kontrolowaną sieć klienteli. Do tego dochodzi proceder handlu głosami, co jest tradycyjnym elementem bułgarskiej demokracji od lat 90. Popularność tej demokracji merkantylnej zaczęła rosnąć wprost proporcjonalnie do dramatycznej pauperyzacji społeczności romskich, które stały się pierwszymi ofiarami deindustrializacji, wysadzenia w powietrze kolektywnego rolnictwa i rozwiązania wojsk budowlanych.

Bułgarska opinia publiczna jest świadoma zagrożeń, jakie niesie niska frekwencja – intensywna debata na ten temat trwa od co najmniej dekady. Nawet teraz – w obliczu wojny na Ukrainie i ryzyka, że przy stosownej dominacji euroatlantystów w Zgromadzeniu Narodowym, kraj może zostać w nią z łatwością wciągnięty – Bułgarzy nie potrafili przełamać swojej apatii i demoralizacji. Nie poszli choćby zagłosować. Mimo że wybór jest jasny: wojna czy pokój. Dwa stronnictwa, które opowiadają się za pokojem – nacjonalisci z partii Odrodzenie kierowanej przez Kostadina Kostadinowa i resztki po Bułgarskiej Partii Socjalistycznej – uplasowały się dopiero na czwartym i piątym miejscu, zdobywając odpowiednio 14 i 7 proc. Jeśli dodać do tego, że partie te się wzajemnie nienawidzą – wyłania nam się obraz oczywistej katastrofy.

Jeśli prozachodni liderzy wszystkich odcieni się dogadają – a wszak ambasador Kenneth Merten z pewnością będzie ich do tego skłaniał – to Bułgarię z pewnością czeka dalsza agonia. Albo nagła implozja, gdyż – jak twierdzą niektórzy komentatorzy i dziennikarze – w takim stanie jak obecnie, państwo i społeczeństwo kolejnych lat euroatlantyckiej demolki nie wytrzymają.

BOJAN STANISŁAWSKI

WIARA CZYNI CZUBA

1. Wierni pielgrzymują do ogrodu przed domem rodziny Gregori w Civitavecchia pod Rzymem, gdzie gipsowa figurka Maryi płacze wonnym olejkiem. Figurka pochodzi z Medjugorie i zastąpiła inną Maryjkę, którą w 1995 r. pięcioletnia wówczas córka Grigorich przyłapała na płakaniu krwawymi łzami. Badania krwi wykazały męskie DNA, ale mężczyźni z rodu Gregori odmówili dania próbek do porównania. Wobec czego lokalny biskup Girolamo Grillo orzekł, że krew pochodzi od Chrystusa. Stara Maryjka została wówczas awansowana do lokalnego kościoła, a w zamian Gregori dostali replikę, pobłogosławioną przez papieża Jana Pawła II, która – co trzeba przyznać – zachowuje się znacznie uprzejmiej i wydziela przyjemniejsze substancje.

3. Zakon Ubogich Sióstr Świętej Klary w Belorado w Hiszpanii domaga się ekskomuniki i ochrania lokalnego arcybiskupa, że jeszcze ich nie wywalił z Kościoła: „Nasz Katolicki Manifest i nasze późniejsze oświadczenia są jasne i powinny mieć automatyczną konsekwencję w postaci wykluczenia nas z zakresu stosowania prawa kanonicznego” – napisały schizmatyczki na Instagramie. W Manifestie klaryski ogłosiły, że oddają się „pod ochronę i jurysdykcję” ekskomunikowanego w 2019 r. eksbiskupa Pablo de Rojas Sáncheza-Franco, który jest sediswakantystą, czyli uważa wszystkich papieży po Piusie XII za nielegalnych, Sobór Watykański II za heretycki, a papieża Franciszka – którego manifest nazywa „panem Bergoglio” – za heretyka i uzurpatora.

2. Biskup pomocniczy niderlandzkiej diecezji „s-Hertogenbosch, Rob Mutsaerts, twórca bloga Purpurowy Pieprz opiera papieża. Watykańska deklaracja Fiducia

Supplicans, zezwalająca na błogosławienie par homoseksualnych to próba „zawarcia pokoju ze świeckim społeczeństwem”, ale „pokój kosztem moralności i prawdy” jest „najbardziej bezlitosnym pokojem”. Mutsaerts ma do Franciszka pretensje, że „nie zajmuje się moralnym wymiarem relacji” – czytaj: pedałstwa – bo chce „być w zgodzie z duchem czasów”. Biskup nie głosi tych opinii z homofobii, a wręcz przeciwnie – z troski o gejów: „Czy wszyscy są mile widziani? Z pewnością. Ale nie bezwarunkowo. Bóg stawia wymagania”. A jak ktoś nie posłucha, to wara z raju.

4. W lutym Werner Reschke, republikański członek kongresu stanu Oregon, ogłosił, że ateści i muzułmanie nie mają prawa być w kongresie i senacie USA: „Nie chcemy materialistów. Nie chcemy ateistów. Nie chcemy muzułmanów. Chcemy kogoś, kto rozumie, czym jest prawda i rozumie naturę człowieka, naturę rządu i naturę Boga. Jeśli tego nie rozumiesz, wybierzesz złe. W Oregonie mamy niestety wielu ludzi, którzy są bezbożni, i to prowadzi do sytuacji, w której ślepi widzą ślepych”. Już w czerwcu zebrała się w jego sprawie komisja etyki izby reprezentantów w Oregonie, która uznała, że Reschke może ogłosić, że dla ciapatych i antychrystów nie ma miejsca w parlamencie, ale nie ma dowodu, że złe ich traktował, więc wszystko jest ok.

5. Brytyjscy bigoci dostali totalnej hysterii po tym, jak tamtejsza Ikea, z okazji Miesiąca Dumy LGBTQ+, wprowadziła do czerwcowego menu swoich sklepowych jadłodziń tęczowy tort. Dochody z tortu są przekazywane prowadzącej telefon zaufania dla osób nieheteromormatycznych organizacji LGBT+ Switchboard. Tort jest śliczny i sprzedaje się znakomicie, ale nie wszystkim się podoba. „Najgorszy tort, jaki w życiu widziałem”; „Żegnajcie, blokuję was”; „Dlaczego nie ma miesiąca hetertyków? W czynie agendzie bierzecie udział” – zapieniła się homofobia nad tortem.

Sport dla swoich

Byłem częstym uczestnikiem imprez organizowanych przez Ludowe Zespoły Sportowe. Wspomnienia kaców prześladują mnie do dzisiaj.

Pomaleńku, bo pomaleńku, ale rozkręca się proces rozliczania poprzedniej władzy z występów, jakich dopuszczała się w sporcie. Niedawno pisałem o nieprawidłowościach ujawnionych w związku badmintonu i jeszcze kilku innych. Teraz dowiadujemy się o tym, w jaki sposób byli minister sportu i turystyki Kamil Bortniczuk zawiadywał funduszami przeznaczonymi na akcję „Sport dla wszystkich”. Krótko mówiąc, okazało się, że nie tyle był to sport dla wszystkich, ile kasa dla swoich.

Śp. Republikanie

Wnioski o dotację złożyło w ministerstwie Bortniczuka ponad tysiąc klubów i organizacji, ok. 800 zaopiniowano pozytywnie, cała pula, czyli 26 mln zł, trafiła jednak zaledwie do ośmiu. Nie zwracano sobie głowy jakimiś konkursami, czy podobnymi głupstwami, szczególnie ósemkę wskazał ośbiście pan minister Bortniczuk. Od jego decyzji odwołania nie było.

Podczas konferencji prasowej nie tylko upierdliwi z definicji dziennikarze, ale też poważni, profesjonalnie ubrani urzędnicy (i urzędniczka) Najwyższej Izby Kontroli zauważyli, że ponad połowa dotacji, czyli 14 mln zł, trafiła do Krajowego Zrzeszenia Ludowe Zespoły Sportowe.

Prezesem LZS jest Mieczysław Baszko – kolega Bortniczuka z nieistniejącej już (wchłoniętej przez PiS) partii Republikanie. To o tyle ważne, że w perfekcyjnym opanowaniu sztuki podziału łupów – zawiązywania publicznej gotówki na partyjne (a nierzadko osobiste) cele – to właśnie Republikanom przypadł sport. Na tej samej zasadzie, na której Suwerenna (d. Solidarna) Polska zagarnęła Fundusz Sprawiedliwości i Lasy Państwowe.

Prezes NIK Marian Banaś zapowiedział, że zawiadomienie do prokuratury w tej sprawie jest przygotowywane. Minister Kamil Bortniczuk oświadczył, że z czystym i spokojnym sumieniem oczekuje na prokuratora. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Żeby nie było wątpliwości: nie mam nic przeciw Ludowym Zespołom Sportowym. Wręcz przeciwnie – to naprawdę pożyteczna i zasłużona organizacja. Tyle, że od dawien dawna ma niefart do oficjeli. O ile na wsiach i w małych miasteczkach kluby prowadzili wspaniali zapaleńcy, często dokładający do sportu z własnej kieszeni, o tyle prezesura Rady Głównej była politycznym kąskiem, który ze smakiem łykali politycy chętnie fotografujący się ze sportowcami. A przy okazji z druhami ochotniczych straży pożarnych, bo obie te organizacje były zawsze silnie związane.

Za komunizmu na czele LZS znajdziemy takie zasłużone osoby jak Józef Ozga-Michalski, Kazimierz Barcikowski, Leon Kłonica i Waldemar Świrgoń. Za kapitalizmu wcale nie jest gorzej, bo ludowymi sportowcami dowodzili Roman Jagieliński i Władysław Kosiniak-Kamysz, a obecnie wspomniany republikanin Mieczysław Baszko. Baszko, proszę zauważyć, ma ciekawą drogę kariery. Zaczynał ją w Polskim Stronnictwie Ludowym. Kiedy wiatry powiały z innej strony, przywiało go do Porozumienia, a stąd już prosta droga prowadziła pod skrzydła Jarosława Kaczyńskiego. Krótko mówiąc: od polityki LZS nie mogą się wyzволzić.

Nie dla abstynentów

Ja, urodzony w Warszawie stary mieszczuch, mam coś ciekawego do opowiedzenia o Ludowych Zespołach Sportowych. Za czasów, których młodzi na szczęście nie pamiętają, redakcje typowały dziennikarzy mających obowiązek opieki nad LZS. W dziale sportowym „Trybuny Ludu” ten zaszczyt przypadł mi z dość oczywistego powodu. Moją specjalizacją było kolarstwo, a większość wybitnych zawodników wywodziła się właśnie z LZS. Nawet Ryszard Szurkowski

pierwsze kroki (o ile o krokach można mówić w przypadku kolarza) stawiał w LZS Milicz i dopiero później przeszedł do potężnego Dolmela Wrocław. Elzetiesiakiem był i Stanisław Szozda, i Joachim („Achim”) Halupczok. Z tych najslawniejszych chyba tylko Mieczysław („Mundek”) Nowicki nie miał LZS-owskich korzeni. Kto więc miał pisać o LZS w „Trybunie”? To oczywiście – Mitel.

Jakie były kryteria przyznawania tego tematu w innych redakcjach, nie wiem. Jedno jest pewne – do LZS nie wysyłano abstynentów. Poczuli by się tam bardzo nieswojo.

Byli też dziennikarze obowiązkowo delegowa-



ni, istniał bowiem wówczas oficjalny organ LZS, tygodnik „Wiadomości Sportowe”, poświęcony wyłącznie kulturze fizycznej na wsiach i w małych miastach. Była to bardzo ciekawa redakcja o wyrafinowanym składzie personalnym. W PRL trudno było stracić pracę za pijaństwo. Ludowa ojczyzna dbała o obywateli. Dotyczyło to także mojego zawodu. Jeśli ktoś bardzo przesadził ze zwilżaniem gardła, odsyłano go na niższe stanowisko służbowe, w ostateczności wysyłano do innej redakcji. Jakiej? Odpowiedź nasuwa się sama: do „Wiadomości Sportowych”.

Na podwórku budynku przy ul. Senatorskiej w Warszawie, w którym mieściły się władze Zrzeszenia i redakcja „Wiadomości Sportowych”, parkowała wysłużona nyska. Kierował nią człowiek w równie wysłużonej skórzanej kurtce. Woził nyską dziennikarzy na rozmaite imprezy. Dziś nazywałyby się z angielskiego eventami lub bardziej swojsko piknikami patriotycznymi. Były to po prostu pijaństwa organizowane po to, żeby dziennikarze raczyli poświęcić kilka linijek wychwalaniu LZS. Po dotarciu do celu czekała na nas konferencja prasowa, gdzie dostawaliśmy przeróżne materiały, a później ochłaj i wyzerka. W społeczeństwie z wyzerką było w tej epoce kruch, ale dla nas zawsze znalazły się jakieś frykasy. Nie zapominajmy, że LZS były ściśle związane nie tylko

z ruchem ludowym, ale także z państwowymi gospodarstwami rolnymi i innymi miejscami, gdzie wytwarzano smakowite wyroby spożywcze.

Po powrocie nyską do domu organizm przeżywał katusze ciężkiego zatrucia alkoholowego, zwanego powszechnie kacem, ale – zdziwienie się – w notesie zostawały ciekawe informacje do wykorzystania w pracy. Ileż to naprawdę niekieskich kawałków napisałem o LZS po odchorowaniu kaca...

Aparatczycy i pasjonaci

Nic dziwnego, poznawałem mnóstwo ciekawych i wartościowych ludzi. Jeśli chodzi o upowszechnianie kultury fizycznej, LZS naprawdę się sprawdzały. Wówczas chodziło o to, aby młodzi na wsi chętniej garnęli się do futbolówki, niż do butelki, do której my, dorośli, tak chętnie się przysysaliśmy. Dziś zapewne chodzi o narkotyki, a przede wszystkim gry komputerowe – o ile LZS nadal tak sprawnie działają w terenie. Tego nie wiem, bo emeryta nikt tam nie deleguje.

Za moich czasów z LZS wywodzili się nie tylko wybitni kolarze (co tłumaczono faktem, że wiejska młodzież zazwyczaj dojeżdżała do szkoły rowerem). Równie popularne było podnoszenie ciężarów; krzepę zawsze wysoko ceniono w tym środowisku. Tu przodowali siłacze z Ciechanowa. Nie

czasem spotykałem się z zaskakującymi sytuacjami. W pewnej wsi (dlaczego na starość zapomina się nazwy miejsc, w których się kiedyś było?) drużyna LZS, występująca w którejś tam lidze piłkarskiej, była chlubą mieszkańców, a zawodnicy cieszyli się niebywałym powodzeniem wśród dziewcząt.

Kibicami chłopaków byli zarówno gminny sekretarz partii, jak i proboszcz miejscowej parafii. Jeden zamieszczał wyniki i tabelę w gablocie zatytułowanej „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”!, a drugi na tablicy ogłoszeń parafialnych.

Opisałem to, ale cenzura zdjęła tekst. Miał jakoby obrażać Kościół katolicki, a w tym momencie dziejów przewodnia siła narodu z siebie tylko znanych powodów zabiegała o dobre stosunki z ludźmi wierzącymi, a przede wszystkim z hierarchami.

Dwaj redaktorzy w jednym łóżku

No dobrze, na koniec przyznam się do czegoś, choć myślałem, że tajemnicę tę wezmę ze sobą do grobu. To był kolejny z elzetiesowskich eventów. Tym razem służbowa nyska wywiozła zgraną dziennikarską gromadkę do Ostródy. Oczywiście już nie pamiętam, jaki był oficjalny powód wyjazdu (na pewno nie promowanie polityka Zjednoczonej Prawicy, bo taka jeszcze nie istniała). Bankiet okazał się należyty. Zakwaterowano nas później w hotelu robotniczym w pobliskiej miejscowości Miłomłyn.

Za współlokatora miałem serdecznego kumpla, z którym nie raz dzieliłem hotelowy pokój i z którym nigdy nie mieliśmy najmniejszych scysji, tym bardziej, że pośród różnych innych zainteresowań, łączyło nas upodobanie do mocnych trunków. Po dotarciu do hotelu stwierdziliśmy, że choć gospodarze starali się jak mogli, jednak nie udało im się upić nas na amen. Pić chciało się dalej. Kumpel puknął się w czoło i przypomniał sobie, że w torbie ma półlitrowkę oraz kanapki, które żona zapakowała mu na drogę. Znaleźliśmy też kieliszki i zasiedliśmy za stołem. Tak miło się nam gawędziło, że wreszcie urwał mi się film i za tym stołem zasnąłem, w dodatku z pełnym kieliszkiem w dłoni.

Nie mogłem przewidzieć, że w tym cholernym hotelu robotniczym wyłaczyli w nocy ogrzewanie, a zima była mroźna; nie to co teraz. Przemarzłem do szpiku kości i dosłownie szczękałem zębami, które wówczas jeszcze miałem własne. Tymczasem w łóżeczku smacznie chrapał kumpel. Nie uśmiechało mi się przykrywać lodowatą kołdrą. Nie zastanawiałem się ani chwili i wskoczyłem do łóżka kumpla i tam, w ciepłku, kontynuowałem drzemkę.

Rzecznik prasowy LZS cicho zapukał, po czym uchylił drzwi, żeby poinformować nas, że uległa zmianie godzina imprezy na statku kotwiczącym na Jeziorze Drwęckim. Co zobaczył rzecznik? Jedno łóżko nietknięte, a w drugim dwaj redaktorzy. Na stoliku resztki uczyty. Szybko wycofał się i opowiadał później, że znał nas jako alkoholików, ale że jesteście gejami, nie wiedział. Wstrętne!

W ten oto sposób zostałem osobą o nienormalnej orientacji seksualnej. To już jest jasne. Zagadką pozostaje natomiast do dziś, czy impreza w Ostródzie, która tak odmieniła mój życiorys, organizowana była w ramach akcji „Sport dla wszystkich” i kto przyznał na nią dotację.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji,
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor prowadzący,
[Małgorzata Daniszewska], Idalia Dubicka, Robert Jaruga,
Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska,
Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski,
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP.

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 12.06.2024 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Współprzewodniczący Czarzasty rzucił okiem na książeczkę „O zajączku, który nie umiał zliczyć do trzech”. Czarzasty umiał: Biedroń raz, Smiszek dwa i Scheuring-Wielgus trzy. Ale co z tego? Raz, dwa, trzy, a dalej nic. Zero. Porażka. Klęska. Marne sześć i trzy dziesiąte procent.

Gdyby współpracownicy Czarzasty dobrze znał się z przyzwoitością, to może przyzwoitość podpowiedziałałaby mu, jak powinien postąpić. Tylko gdyby tak postąpił, to ani za niespełna dwa lata, ani już nigdy nie zostałby marszałkiem sejmu. Nie zapisałby się w historii. A raczej by się zapisał, lecz na jej marginesie.

Sztandar wyprowadzić! – przypomniało mu się. A może rzeczywiście znów wykonać gest sekretarza Rakowskiego? Na co komu lewica, której popularność kończy się na sześciu procentach? Na którą głosują psy z kulawą nogą, co bystrzejsi emeryci i prezydent Kwaśniewski?

To byłoby coś: dymisja w świetle reflektorów. Świadomie powzięta decyzja. Przepraszam, dziękuję, żegnam. Niech teraz inni pokazują, co umieją. Kotula, Bieją, Zandberg. Ciekawe, czy podskoczą wyżej niż sześć przecinek trzy?

Niektórym karta idzie – pomyślał.

Na całej polaci – Tusk

W przeróżnej postaci – Tusk

Na siostry i braci

Zimowy plakacik – Tusk... Tusk*

– zanucił współpracownicy Czarzasty, a iza zazdrości zakreśliła mu się w oku.

...

Przewodniczący Hołownia już się w życiu napłakał, nic więc dziwnego, że rezultat sześć przecinek dziewięćdziesiąt jeden nie robił na nim zbyt wielkiego wrażenia. Trzeba dalej toczyć ten kamień. A jeśli będzie za ciężko, rozejrzeć się za jakimś innym wyjściem. Sasin już dziś proponuje Kosiniakowi fotel premiera... Jeśliby zaproponował przewodniczącemu Hołowni, to też oczywiście nie, nie umawiamy się na randkę z wampirem, ale...

Ale...

Miło by było zapisać się w historii czymś bardziej doniosłym niż tylko funkcją rotacyjnego marszałka sejmu. Przewodniczący Hołownia wiedział, że ta myśl, która właśnie zakiełkowała w głowie, długo nie da mu spokoju. Pytanie tylko, jak długo?

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

* Parafraza pierwszej zwrotki piosenki Jeremiego Przybory (tekst) i Jerzego Wasowskiego (muzyka) „Na całej polaci śnieg”.

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA była w większości, która olała europejskie wybory. **JOANNA SENYSZYN** była w mniejszości, która nie olała, ale też się nie cieszy, bo nie ma z czego.

Wołk-Łaniewska: – Cemu „też się nie cieszy”? Ja tam się cieszę, że nie przyłożyłam ręki do tej zenady...

Senyszyn: – Wbrew początkowej euforii Tuska, że po 10 latach PO z przystawkami wreszcie pokonała PiS, z europejskich wyborów mniej poobijana wyszła polska, zaprziała konserwa...

– To prawda.

– Pokazała, że ma większe zdolności mobilizowania swojego elektoratu. Od jesieni PiS i Konfa straciły 3,5 mln wyborców, podczas gdy rządzący aż 5,7 mln. To przecież katastrofa, a nie sukces.

– I znowu prawda. Ale

najbardziej żenujące

jest, w jaki sposób obie

strony mobilizowały

ten elektorat. Po PiS

niczego się nie spo-

dziewam, ale ta oszałała nagonka na „obcych”, którą uprawiał Tusk i cała „demokratyczna koalicja” – toż to się rzygać chce. Jak Kaczyński opowiadał o uchodźcach, co roznoszą zarazki, to się nie posiadaliśmy z oburzenia – a tu Tusk wynalazł „młodych mężczyzn, w 90 procentach wyposażonych w wizy rosyjskie”. Skąd on to wie, nawiasem mówiąc, skoro tak skutecznie bronią tej granicy i nikogo nie wpuszczają? Przez plot im te wizy pokazują? W przerwach między rzucającymi nożami i strzelaniem? Ale oczywiście, to zadziało, jak się ludzie postraszy ciapatymi na ruskich papierach, to nawet dupę ruszą przy niedzieli...

– A jednak nie ruszyli. PO wygrała o pisi kłak i to tylko dlatego, że odebrała wyborców swoim koalicjantom, a to znaczy, że ich powoli zjada. Wygląda na to, że 3D podzieli los Samoobrony, a tzw. Nowa Lewica – i to jest prawdziwy chichot historii – Ligi Polskich Rodzin.

– Nie mów hop, to może znaczyć, że Czarzasty zostanie gwiazdą Platformy, zdobędzie mandat z ostatniego miejsca w Kieleckiem i będzie miał własną komisję do polowań na opozycję. Za 18 lat, co prawda...

– To ile wtedy będzie miał lat?

– 82, jeśli dobrze liczę...

– Piękny wiek, ale jego szansa na powtórzenie kariery Giertycha wydaje się nieprzesadna. Wracając do teraźniejszości: prawdziwym i naprawdę jedynym zwycięzcą jest Konfa, która straciła tylko 127 tys. wyborców i pnie się w górę ciągnięta przez europośla Brauna, który w Małopolsce zdobył prawie 114 tys. głosów. To najlepszy wynik Konfede-

racji i czwarty w okręgu, za Szydło (236 tys.), Sienkiewiczem (196 tys.) i Tarczyńskim herbu jenot (138 tys.). Teraz Braun szturmem zdobył Brukselę ku rozpacz startującego z jedyńki Berkowicza.

– A mnie tam Braun śmiesz, kiedy myślę, jak się upasie w tym kondominium rosyjsko-niemieckim pod żydowskim zarządem powierniczym... Chłopina, jak został posłem w 2023 r., miał na koncie 785 złotych i 23 grosze oraz 383 dolki, ani domu, ani młyna, jak śpiewali Starsi Panowie... A teraz przyluli pięć baniek i jeszcze przyjaciół pozatrudnia. Ciekawe, czy dobrobyt go utemperuje troszeczkę, czy nadal będzie biegał z gaśnicą i pakował choinki do kosza na śmieci.

– A propos pięciu baniek: wielką wygraną jest też Wiosna, która jako frakcja, czyli pół partii, osiągnęła taki sam wynik jak pięć lat temu i ma też trzech europosłów, w dodatku w wymarzonej od zarania Wiosny konfiguracji, bo Kohuta zastąpił Śmiszek, a Sylwii Spurek – Scheuring-Wielgus.

– Wiesz co? Nie chce mi się o tym gadać.

– Słusznie, mnie też nie. Przed nami rok odpoczynku od wyborczych kłamstw, widoku smętnych gęb kandydatów wiszących na płotach

i pocztowych skrzynek zaśmieconych ulotkami. Chce się żyć! Co zrobisz z tak piękną perspektywą? Bo ja planuję podróżować. Od lat marzy mi się Australia i Nowa Zelandia, ale przez ostatnich 50 nie miałam czasu, żeby wyjechać na ponad miesiąc, a na krócej nie warto.

– Mam niezwyklego brata w Nowej Zelandii...

– Serio?

– Owszem. Przyrodniego, z pierwszego małżeństwa mojego ojca. Marka totalnie uwielbiam. Jak był małym chłopcem, mamusia go wywiozła do Szwajcarii, gdzie przyjął się całkiem nieźle, zdał egzamin na Szwajcara, skończył studia, jakąś firmę założył i w ogóle mu dobrze było, aż doszedł do wniosku, że mu kapitalizm obrzydł. Poszedł zatem do urzędu od bankructw i mówi do pani w okienku: „Dzień dobry pani, chciałbym zbankrutować”. A pani na to: „A czemu?”. „A bo mi się znudziło”. – To tak można?

– W Szwajcarii. To się nazywa bankructwo spontaniczne i można to zrobić raz w życiu. Potem pojechał do Anglii, gdzie ukończył kurs fabryczny Rolls Royce’a i uzyskał prawo noszenia kaszkietu z napisem Rolls-Royce. Ale to też mu się znudziło, więc wyjechał do Nowej Kaledonii i wstąpił do klasztoru. Przez pół roku prał koszulę w strumieniu i codziennie wstawał na jutrznię o 3:40, ale w końcu doszedł do wniosku, że to trochę za wcześnie. Więc pojechał do Nowej Zelandii i dał ogłoszenie, że szuka żony, ale jest biedny. Zgłosiła się Sharon, która napisała, że to nie szkodzi, bo ona jest bogata. I tak są już razem 30 lat. Aha i jeszcze, powołując się na swoje papiery z Anglii, został „bezsamochodowym członkiem klub właścicieli Rolls-Royce’ów”.

– Fajnie to wszystko wymyśliłaś, ale jeśli to prawda, z przyjemnością go odwiedzę.

– On się na pewno bardzo ucieszy. Mieszka na Wyspie Południowej w, z przeproszeniem, Christchurch.

– Teraz to już przesadziłaś...

– Jak boga kocham, przysięgam, jak mówię nasza wspólna ateistyczna przyjaciółka. Toć mówiłam, że jest niezwykle.

– A propos boga i kochania: katechetom całkiem poprzewracało się we łbach i protestują przeciwko niewliczaniu oceny z religii do średniej oraz umieszczaniu religii na początku lub na końcu szkolnych zajęć. Bezczelnie lżą, że jest to „forma dyskryminacji, segregacji i nietolerancji wobec osób wierzących oraz godzi w prawa nauczycieli religii zapisane w Karcie Nauczyciela”. A jak dzieci niechodzące na religię mają okienko i tulają się po korytarzach, to według mentalności kleru, czyli gorszej odmiany mentalności Kalego, jest w porządku.

– Katechetom nie poprzewracało się w głowach, oni mają to tak ustawione 30 lat z górą. Musiało by im się poprzewracać do góry nogami, żeby zrozumieli, że te czasy już minęły.

– Naprawdę myślisz, że minęły?

– A to się dopiero okaże.

– Jeśli Nowacka ustąpi klechom, powinna też ustąpić ze stanowiska ministry edukacji.

– Na to bym specjalnie nie liczyła, w Polsce nikt nie ustępuje ze stanowiska, chyba, że zostanie jedyneką do europarlamentu. Ale, skoro już wróciliśmy do wyborów: zachwylił mnie Nick Robinson, dziennikarz BBC, który robi wywiady wyborcze, bo tam za chwilę wybory. I premier Sunak mu opowiada, jak to będzie podatki obniżał, zarobki podnosił, imigrację ograniczał, NHS ratował i w ogóle zaprowadzi powszechne bogactwo i szczęśliwość. A Nick mu na to: „Brzmisz jak facet w pubie, który pożyczył 50 funtów trzy lata temu i za każdym razem, kiedy się go o to pytają, mówi: oddam ci, oddam, jutro”. To się nazywa wywiad polityczny. Olejna niech się schowa.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 302



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI